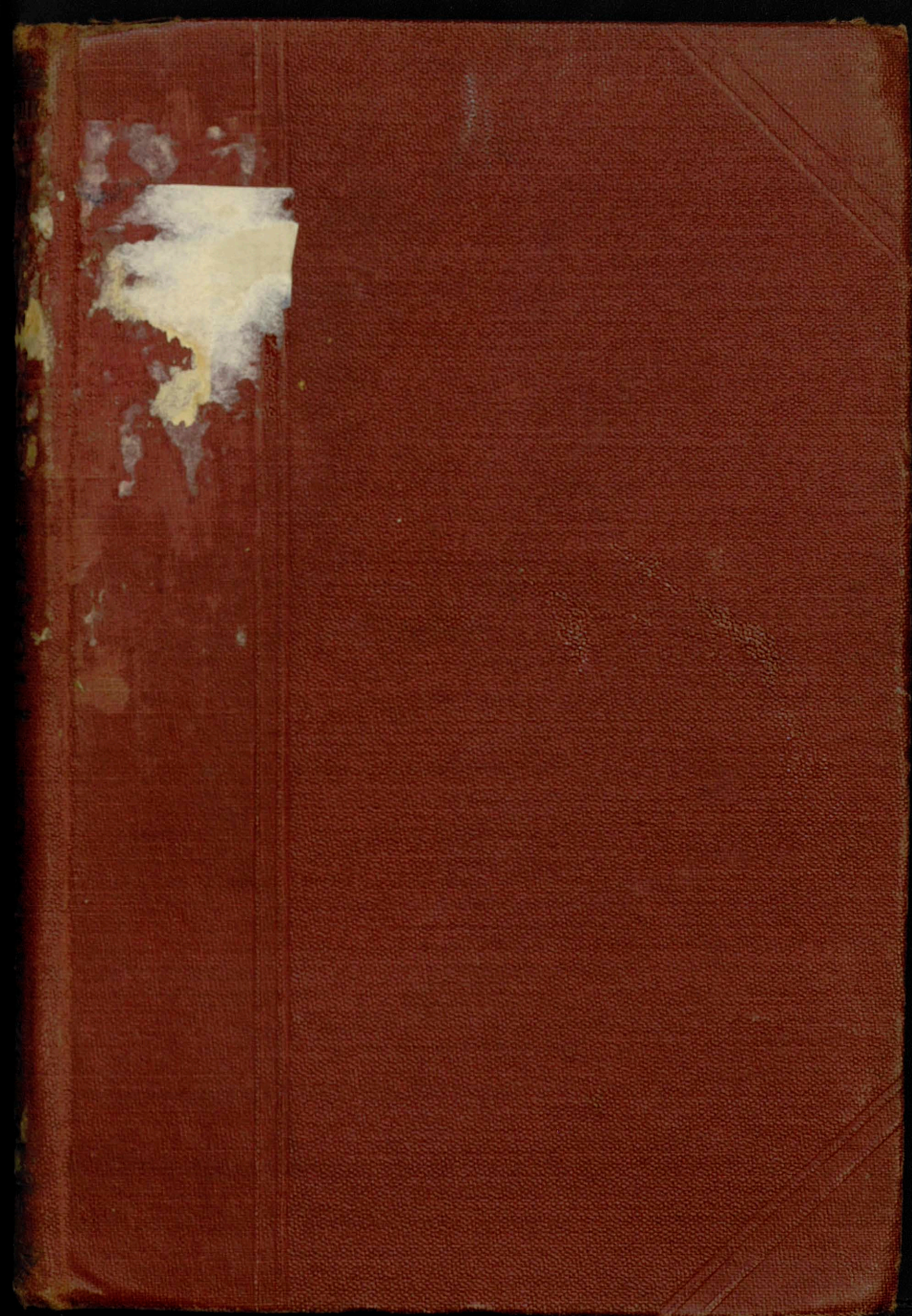




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie . . (52 tomy) rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odosłanie do domu 15 kop. kw.

Rocznie . . (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) kop. —

Półrocznie. (za 26 tomów). „ —

Kwartalnie (za 13 tomów). „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński,

Dr. Julian Ochorowicz,

Julian Adolf Świącicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy Świat 47. — Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki 47.

Wydawnictwo A. T. Jezierskiego, Warszawa, ul. 47

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 162.

66

Z ZIEMI FJORDÓW I FJELDÓW

Luźne kartki z podróży



M. Szukiewicz.



Mieczysław Szukiewicz

Cena 40 kop.

W pren. 30 1/2 kop.

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja

47. Nowy-Świat 47.

1900.

Z ZIEMI FJORDÓW I FJELDÓW.

M. Szukiewicz.

Z ziemi fjordów i fjeldów

LUŻNE KARTKI Z PODRÓŻY.



WARSZAWA.
DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego

47. Nowy Świat 47.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Ноября 1900 г.



884-311.2

PRZEDMOWA.

Maciej Szukiewicz należy do najmłodszych pisarzy polskich i znany jest dotychczas szerszej publiczności tylko z jednej pracy większej, oddzielnie wydanej, mianowicie z podróży po Słowaczczyźnie, drukowanej w dodatkach „Gazety Polskiej.”

Urodził się w r. 1870 w Sztokholmie, ale dzieciństwo i wiek młodzieńczy spędził w Krakowie.

W r. 1890 ukończył nowodworskie gimnazjum św. Anny, poczem przez lat trzy studiował chemię technologiczną w niemieckiej szkole technicznej w Pradze. Brak jednakże środków zmusił go do przerwania kariery naukowej.

Był jakiś czas robotnikiem w kopalni nafty w Wietrznej, potem kupcem w Rzeszowie.

Zapewniwszy sobie znośny byt materyalny, podjął nanowo studia na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, które w r. b. ukończył.

Zaczął drukować swoje prace w roku 1890 w „Ognisku” organie młodzieży akademickiej, a w kilka lat potem (1897 r.) napisał i wystawił na scenie jednoaktówkę p. t. „Śnieg.” W 1898 r. cieszył się

powodzeniem na scenach Lwowa i Krakowa trzyaktowy jego dramat p. t. „Uluda”—zaś druga z kolei jednoaktówka p. t. „Kwiat pleśni” upadła.

Jednocześnie drukował Szukiewicz po różnych pismach („Życie,” „Młodość,” „Kraj,” „Czas,” „Tygodnik Ilustrowany”) drobne utwory liryczne, odznaczające się myślą i formą.

Przez kilka miesięcy prowadził dział krytyk teatralnych w „Czasie,” a następnie, w lecie 1899 roku, odbył dłuższą podróż po Szwecyi i Norwegii, której owocem są niniejsze wspomnienia.

Przed rokiem mianowany kustoszem Domu Matejki w Krakowie, pełni gorliwie przyjęte na się obowiązki.

Maciej Szukiewicz posiada niewątpliwy talent pisarski, a ponieważ z talentem łączy sumienność i pracowitość, można mu rokować piękną przyszłość.

Autor nasz jest bratem Wojciecha Szukiewicza, znanego czytelnikom „Biblioteki” z przekładu „Gałązki oliwnej” Ruskina.

I.

Pamiętam jak dziś pierwsze wrażenia dziecinne. Bywało o zmroku siadaliśmy we troje u kolan matki i słuchali jej bajek lub wspomnień z wycieczek po Niemczech, Francyi lub Szwecyi.

Daleko silniej atoli utkwily mi wrażenia, związane z jakimkolwiek konkretnym kształtem; nie dziw też, że ustną tradycyę przygłuszyły obrazy i ilustracye ksiąg różnych i pism, do których przeglądania zasiadaliśmy nieraz w święta lub długie zimowe wieczory. Była to przyjemność nielada. Wyciągało się wtedy z szafy kilka roczników *Kłosów* i dalejże wertować w nich obrazki, zdobić w impresjonistyczne, czerwone drzewa, twarzom dorabiać wąsy, albo czasami pokryjomu wydrzeć którą kartkę, obrazek wyciąć i nakleić go na karton, aby nim pomnożyć zapas dekoracyj teatrzyku dziecinnego. Od tego wandalizmu jedno tylko było uchronione rozkazem rodziców i jako pamiątka szanowane. Były to mianowicie roczniki *Familien Journal*, obrazkowego tygodnika sztokholmskiego, które razem z nami przyjechały do kraju. Te księgi przeglądało się zawsze z wielkim pietyzmem i do dziś dnia są mi one drogie i kochane. One pierwsze odkrywały dziecku prawdziwy, wielki świat; one wcale niezłemi drzeworytami mówiły mu o wielkich ludziach, miastach, morzu, statkach; one wreszcie dawały mu poznać dzieła sztuki obcych,

odległych narodów. A chociaż podpisy były niezrozumiałe, chociaż sylabizowanie nieznanych wyrazów nie objaśniało rysunków, mimo to, a może właśnie dlatego wzruszały do głębi i wryły się w pamięć niezatarcie i na zawsze. Czego myśl i wyobrażenia same nie skombinowały, tego dopełniały opowiadania rodziców.

Weześnie bardzo wiedziałem, gdzie leży półwysep skandynawski, na którym w pewnych miesiącach słońce wcale nie zachodzi; weześnie bardzo znałem spiżowe posagi królów i uczonych, zdobiące place Sztokholmu; weześnie bardzo ubolewałem nad przykrym do skał przez Wodana buntowniczym Loge, na którego wąż toczy zjadliwą ślinę—słowem w najrańszem dzieciństwie miałem sobie zupełnie bliskim świat dalekiej północy z jego ludźmi i naturą, i nieraz odbywałem doń wycieczki powietrzne, bądź to w siedmiomilowych butach, bądź też na pokładzie nieznanych statków i łodzi. Miałem zresztą po temu naturalne prawo.

Cny czytelniku, pozwól mi łaskawie,
 Że ci na wstępie mojej opowieści
 Imię me, ród mój i klejnot wyjawię.
 Na świat przyszedłem za morzami, gdzieści,
 W ziemi Wikingów, na skalistej ławie,
 Którą Mäleru fala wiecznie pieści,
 A w powijkach ssąc pierś zacnej Szwedki,
 Wzrosłem hartowny i duchem nie wietki..

Taką pieśń zacząłem snuć w latach późniejszych, płacąc dług ziemi i miastu, gdzie ujrzałem światło dzienne, i pocziwej Krystynie, która mnie wykarmiła i chciała własne dziecko porzucić, a za mną z rodzicami wybrać się do kraju.

Przeszedłszy okres Robinsonów i Juliuszów Verne'ów, zacząłem przeważnie pochłaniać poezję i tak natknąłem się pewnego dnia na przesłiczną powieść Izayasza Tegniera. Odtąd do ulubionych postaci książkowych, od których rola się wyobrażenia, przybył pół-

bóg, pół-człowiek z niechybiającą nigdy strzałą w kołczanie, kryjący przed starym królem miłość swą dla młodej królowej, mąż niezrównany w walce i polowaniu, a bogom miły.

Długi czas był Fridhjoef w państwie młodej myśli jedynym reprezentantem skandynawskiej Północy; wkrótce jednak skończyło się to jego osierocenie, a przy boku jego stanęli: Brand, Peer Gynt, lejtant Glan, Coldevin i cały ogromny poczet sylwet z dramatu i powieści, ze znakomitych autorów skandynawskich, którzy zda się uzyskali wyłączny patent na wierne odtwarzanie dzisiejszego człowieka i dzisiejszego życia—odtworzenie tak wielostronne i doskonałe, że obejmując wszystkie objawy doby końca wieku, zamknęło w sobie pewien etap umysłowego rozwoju ludzkości i wyczerpało do dna jej duszę, a tem samem wzniosło się na wyżyny literatury klasycznej, która wypowiedziała wszystko i do której dodać nic niepodobna.

Gdy na tak przygotowany w dzieciństwie grunt padły płody literatury skandynawskiej, coraz natęczywiej budziło się we mnie pragnienie poznania z autopsyi krain Północy, coraz częściej powtarzałem sobie, że pierwsza podróż, jaką odbędę, obejmie Szwecję i Norwegię. Chciałem koniecznie poznać tamtejszych ludzi, ich zwyczaje i obyczaje, ich wczoraj, dziś i jutro — zapragnąłem poprostu, wyuczywszy się ich języka, zbliżyć się do tych społeczeństw, które wyprodukowały tak licznych i wielkich artystów.

Okoliczności rzuciły pragnieniom moim rodzaj pomostu—a była nim zrazu korespondencya, a potem osobista znajomość z jednym z najlepszych u nas znawców Skandynawszczyzny, którego rozprawy, a także ustne relacje o tamtejszych ludziach i społeczeństwach, były dalszym bodźcem do wykonania raz poziętego planu. Gdy zaś równocześnie niemal ujrzałem zbiorową wystawę obrazów Nałęczu, w których nie świetnie wprowadzie, ale dość szczegółowo przed-

stawił malarz fiordy i szery norweskie, postanowiłem, nie zwlekając długo, wybrać się tego lata do ojczyzny Nansena i Nordenskjölda.

Zdecydowawszy się wreszcie, zacząłem wertować Baedekera i tury Cooca. Żadna z nich atoli nie odpowiadała moim intencjom, raz dlatego, że obejmowały albo wyłącznie Szwecję, albo też wyłącznie Norwegię, a powtórę dlatego także, że wszystkie, uwzględnione przez nich marszruty, wiodły przeważnie przez zapełnione turystami szlaki, a więc bądź to zgiełkowe, bądź też drogie. Dlatego postanowiłem ułożyć sobie na własną rękę plan drogi i zobaczyć i poznać możliwie najwięcej miast, ludzi i natury w obu zjednoczonych królestwach.

W Szwecyi nęcił mnie w pierwszej linii Sztokholm ze swemi pamiątkami i wspomnieniami dzieciństwa, jeziora wewnątrz kraju i sławne wodospady w Trollhättan; w Norwegii chciałem poznać dzisiejszą i dawną, historyczną stolicę, to znaczy, być w Chrystyanii i Tronhjem (z niemiecka Drondheim), a następnie obejrzeć dokładnie fiordy Molde i Hardanger, aby przez Danię, Kopenhagę i Lubekę powrócić do domu.

Pragnąc zaś wedle możliwości poznać jak najwięcej tamtejszych ludzi, pobrałem listy polecające do Sztokholmu i Tronhjem. W ten sposób droga moja zapowiadała się niezmiernie interesująco, zwłaszcza, że miałem w Tronhjem otrzymać dalsze znów polecenia do Kopenhagi, które wprowadziłyby mnie w świat artystyczny i literacki „młodej Danii.”

Losy atoli zrządziły nieco odmiennie. W Sztokholmie nie zastałem pana Helge Bäckströma, szwagra jednego z moich znajomych, po którego znajomości wiele sobie obiecywałem, listy zaś, w które zaopatrzył mnie Thiss, dyrektor muzeum tronhjemskiego, okazały się bezcelowe, gdyż ani jednego z literatów, a nawet dziennikarzy za przyjazdem do Kopenhagi nie zastałem. I te jednak znajomości, które wśród podróży

udało mi się zawrzeć, wystarczyły mi zupełnie do wyrobienia sobie pewnego sądu o życiu i stosunkach objętych unią królestw.

W pierwszych dniach czerwca znalazłem się pewnego wieczoru w wagonie kurierskiego pociągu, zdążającego do granicy pruskiej. Za Łobzowem spojrzałem przez okno na smukłe wieże kościoła Maryackiego i kopułę św. Piotra. Nad starym grodem wisiał opar i mgła wieczorna, podobna wyziewom z torfowisk, tamująca światło słoneczne, osłaniająca miasto przed każdym świeższym powiewem, przed każdym wolniejszym tchnieniem—mgła podobna pleśni rozsnutej w powietrzu...

Dalej! dalej w wolną ziemię fiordów i fieldów ¹⁾.

¹⁾ Fieldami zwą się niezmiernie płaszczyny na wyżynach Alp skandynawskich, pokryte wiecznym śniegiem i lodowcami.

II.

Lotem ptaka przebyliśmy Szląsk i Brandenburię. W dwadzieścia cztery godziny po wyjeździe z Krakowa znalazłem się wśród ludności, która zamiast *Wasser* mówi *Watter*, a zamiast *das* — *datt*, w ziemi brzydkiego narzecza *plattdeutsch*, które jest pomostem językowym między niemieczyzną a mową Danii i połączonych królestw skandynawskich, a po części przez Hanower i Fryzyę stanowi przejście do szypliwej mowy John Bullów. Odtąd przez blisko dwa miesiące przyszło mi wędrować wśród ludów, o których wogóle powiedzieć można, że są przeważnie plujące. Zdaje się, że wskutek ostrego klimatu i ustawicznej krętaniny po morzu, narażone są te ludy na szkorbut i jedynym, każdemu dostępnym środkiem przeciw dokuczliwej chorobie jest żucie prymki. W okolicach wyłącznie rybackich, kobiety nawet oddają się temu przykreemu dla otoczenia nałogowi; niemniej częstym widokiem jest wtykanie sobie w usta zwojów czarnego tytoniu przez 8 — 10-letnich chłopaków. Po za tem charakteryzuje te ludy rozsiane nad Skagerrakiem i Kattegatem właściwa każdemu pronuncyacya. Szwedzi wymawiają bardzo głęboko *r*, przyczem odbiera się wrażenie, że mają w gardle nadmiar śliny; nadto przy wymawianiu niektórych wyrazów, zwłaszcza przytakującego *a-ha*, nie wydechają powietrza, lecz je wciągają, co sprawia wraże-

nie ogólnego jąkania się. Norwegowie, mając język bardzo zbliżony do angielskiego i posługując się nim równie dobrze i powszechnie, jak swoim własnym, nadużywają dźwięków zębowych i słuchając ich, niepodobna oprzeć się myśli, że każdy z nich wyszedł świeżo od dentysty, z założoną przed plombowaniem szczęką. Ten sam zupełnie język z rodzajem tłumnika na dźwiękach zębowych i charakterystycznym przeslizgiwaniem się przez dźwięk *r* i *l*, jak wogóle większość spółgłosek, rozbrzmiewa w Danii. Powyższe obserwacje poczyniłem, rzecz prosta, później dopiero. Na razie znalazłszy się na pokładzie „Gustawa Wazy,” który miał mnie przewieźć przez „wielkie, słone wody,” przyglądałem się pilnie robocie na statku i ludziom krzątającym się koło niej.

Parowiec nasz jest własnością kompanii niemieckiej, lecz chodzi pod flagą i w służbie szwedzkiej. Sam waży 450 ton, przewozi przez Bałtyk drugie tyle ładunku, wśród którego zawsze musi być kilkadziesiąt beczek soli, kopaliny, nieznannej w Skandynawii, a nieprodukowanej z wody morskiej dla jej zbyt małej zawartości soli.

Nadto zabieramy z sobą mnóstwo wełny owczej, mieszanej ze szmatami dla przedzalni sztokholmskich, kilkaset worków kości bydłych i sporo maszyn rolniczych. Wyjazd z portu lubeckiego, naznaczony pierwotnie na godzinę 6-tą wieczorem, odwleka się. Kapitan Svetberg, jak się później przekonałem, z kośćciami znaczne Szwedzisko, jak może zagania do roboty 24-ch ludzi załogi, która i bez zachęty pracuje cicho, prędko i sprawnie. Stabilka przez umieszczony na maszcie blok wyciąga niezmordowanie niezliczoną ilość pak i pakunków, mimo to jednak kapitan uprzedza mnie, że małe spóźnienie jest nieuniknione i że z gęstwiny statków, brygów, łodzi i bark nie wypłyniemy na środek Trave przed 12-stą w nocy. Jest jednak nadzieja, że tych kilka godzin zwłoki powetuje nam

silny wiatr, który zerwał się od południa i zimnym siecze deszczem.

Mrok coraz gęstszy osłania wieże Lubeki i brzegi Trave; woda wokoło połyskuje setkami światła różnokolorowych, porozwieszanych na masztach i burtach, nawet żelazne żorawie ładownicze zwiesiły bezczynnie nad magazynami swoje spracowane szyje. Rad nierad kładę się spać zły, że nie zobaczę chwili, gdy łódź znika z oczu — chwili, która najpotężniejsze sprawia wrażenie widokiem i myślami z niem związanymi. Kładę się spać i słuchając plusku fal, uderzających w okragłe okienko, myślę, że jeżeliby pan Bałtyk zechciał trochę pohulać i nie poznawszy swego dziecka, oddał mnie swym prawym dzieciom, rybom, na strawę — to przyszłoby mi leżeć na dnie wód, nie jak Wikingom w ich ukochanych łodziach, wśród ukochanych przedmiotów i zaszczytnych łupów, ale wśród worków wełny i ohydnych kości, w towarzystwie zbójcko trochę wyglądającej załogi i zupełnej sierocie wśród obcych.

Na szczęście, uspokaja mnie myśl, że „Waza” drogę między Lubeką i Sztokholmem odbył już kilkakrotnie i że wszelkie niebezpieczeństwo jest wykluczone. Bez trwogi też zapadam w objęcia Morfeusza.

Przebudzenie nie należało do przyjemnych chwil podróży. Wszystkie przedmioty razem ze mną kołyszą się bezustannie. Podnoszę się z pościeli — lecz ucisk w skroniach, zawrót głowy i szum w uszach, utrudniają wszelki ruch. Jak mogę, przełamuję objawy choroby morskiej, której, znosząc doskonale wszelkiego rodzaju huśtawki i dyabelskie koła, nie spodziewałem się u siebie. Zimne i wilgotne powietrze pokładu pokrzepia mnie znacznie, i złożywszy jednorazową i bolesną libację gniewnemu Posejdonowi, mogę, acz z trudnością, wędrować po pomoście. Oczywiście, całą mą uwagę pochłania morze.

Nie pierwszy to już raz spotkałem się z niem oko w oko, boć małym dzieckiem wędrowałem już także. Kilkunastomiesięczny atoli dzieciak, nie za-

chowwał żadnych wspomnień owej podróży i obecnie otwierał oczy szeroko, chcąc w nich za jednym rzutem pomieścić niezmierzony obszar wód. Odpowiadało mi zawsze i czytałem wszędzie, że morze jest piękne i wspaniałe.

Na razie zawiodłem się w swych oczekiwaniach; ujrzałem je bowiem potężne i groźne, ale bynajmniej nie piękne. Gdziekolwiek pobiegnie oko, wszędzie jednostajna, choć ruchliwa, brązowo szara płaszczyzna, zmierzwiona w bruzdy i skiby, obrębiona białą pianą, powyginana w mniejsze lub większe wzgórza, rozbijające się z hałasem o boki statku, albo rzucając nim, jak lichym kawałkiem drewna na wszystkie strony. A ponad tem wszystkim ciężkie, ołowiane chmury, posępne i dżdżyste. Jak się przekonałem później, nie morze tu zawiniło względem mnie, lecz pogoda, która już w Lubece zaczęła kaprysić. Wiatr, dmąc zrazu od ładu, odwrócił się i pędził na nasz statek całe wzgórze płynnego elementu. Chwiejba staje się wprost nieznosną. W kajutach pierwszej klasy rezydują ja jeden tylko, spędzając czas przeważnie na pokładzie; zato w drugiej klasie przez uchylone drzwi widać wszędzie schorowanych pasażerów, białych i wzywających śmierci. Między nimi jakieś małżeństwo, Niemcy, jadący w odwiedzinach do krewnych na wyspę Oeland. Od wejścia na „Wazę” nie podobali się oni kapitanowi i sternikom i zdaniem ich, są to *Pechvogel*, którym zawdzięczamy niezwykle dokuczliwą pogodę. Oczywiście śmiałem się z ich przesądu wówczas i dziś się śmieję, co jednak nie przeszkadza, że istotnie z chwilą, gdy opuścili statek w Kolmarze, niebo rozjaśniło się niespodzianie, darząc nas odtąd niezrównaną pogodą.

Jako jedyny, prócz kapitana i załogi, zdrowy człowiek — nawet stewarci i kucharki statku, przyzwyczajeni do morza snują się po kątach zieleni i błazni — ratuję swych towarzyszy podróży, jak mogę. Zapas moich pomarańczy znika w ich spragnionych, a nie mogących przyjąć innego pokarmu ustach — również tu

i owdzie przychodzi mi spełnić samarytańską usługę w rodzaju podania wody, lub pomożenia do wdrapania się z powrotem do kajut, z których chwiejbą statku schorowanych nierzadko wyrzuca. W porze obiadowej zjawiamy się przy stole ja tylko i kapitan. Widząc mą chwacką minę, ściska mnie krzepko za ramię i łamaną trochę niemczyzną, nie bez cienia narodowej dumy, mówi:

— *Da erkennt man sofort, dass Sie ein Stockholmer sind, so zu sagen ein Schwede. Sie sind ein braver, seestarker Mensch.*

Oświadczenie to napełnia mnie, lądowego robaka, pewną dumą, nie może jednak skłonić do obfitszego jadła. Mimo bowiem, że nie jestem chory, przestrzegam wielką wstrzemięźliwość i ograniczam mój „obiad” do asystowania kapitanowi.

Kapitan to typowy morski wilk. Słone powietrze i słońce wygryzły mu na twarzy i szyi rdzawe plamy i tysiączne zmarszczki. Od lat czterdziestu kilku uwija się po morzu. Był niegdyś na wielkich żaglowcach u brzegów Caplandu, Indyj i Australii, potem przez dłuższe lata służył w marynarce brazylijskiej. Gdy atoli z upadkiem szlachetnego Don Pedra niepewne w całym kraju nastały stosunki, wyrzekł się intratnej posady i powrócił do ojczyzny. Obecnie wstydzi się potrosze, że musi pływać przez kałuże, zwaną Bałtykiem, ale ostatecznie pogodził się ze swym losem i od szesnastu lat przewodzi „Wazie.” Zajęcie jego jest wprawdzie trochę monotonne, ale przyjemne. Gdy upora się ze wszystkimi formalnościami portowymi i pozałatwia rachunki ze spedytorami, wypływa na pełne morze, nie mając nad sobą żadnych praw i więzów i będąc na statku nieograniczonym panem siebie i podległej załogi, a nawet podróźnych. Drogą mu nieograniczone, rozlewne wody, a stróżem jedynym gwiazdy na niebie.

Koniecznem jednak jest, żeby te gwiazdy świeciły. Na razie atoli wszelka wieść o nich przepadła

wśród gęstych i czarnych chmur. Pogoda coraz bardziej się psuje. Podskoki statku stają się tak znaczne, że co chwila śruba wynurza się z wody, a wtedy cały okręt, niby w ataku febrzy, trzęsie się nieznosnie. Noc całą trwają te ataki i niema mowy o wypoczynku. Zato z nastaniem dnia, mimo niezmiennego stanu powietrza, fala się nieco uspokaja. Znak to, że wpłynęliśmy na wązki szlak wód pomiędzy lądem szwedzkim a długą bardzo wyspą Oeland. Z pokładu widać już nawet małe wzgórza i gaje, a wprost przed nami z mgły wyłaniają się wieże zamku kolmarskiego.

Miasto to, dziś około 15,000 mieszkańców posiadające, jest jednym z najstarszych grodów Szwecyi i w historii jej zyskało miano *rikets nyckel* — klucz państwa. W niem to dnia 17 czerwca 1397 r. przyszła do skutku, za Eryka Pomorskiego, unia Danii, Szwecyi i Norwegii, na pamiątkę której zbudowano do dziś dnia dobrze zachowany zamek. O zwiedzeniu jego niepodobna mi jednakże marzyć; stacya nasza nie potrwa kilku godzin i ledwo wyrzucimy nieco ładunku, pomkniemy dalej.

Coraz też większy ruch na pokładzie. Majtkowie przygotowują kotwicę i liny, ten i ów z pasażerów dźwiga kuferek, jadący dalej wędrują do dzioba, do śruby i przyglądają się portowi, którego pierwsze rafy widne już są gołem okiem. Wtem nawprost nas, jak wodny pajak, wysuwa się z ukrycia drobna łódź i steruje wprost ku nam. To *lootse* spieszy ze swemi usługami, swą zdumiewającą poprostu lokalną pamięcią, dzięki której bez szwanku mogą statki prześliznąć się wśród skał podwodnych lub mielizn.

Nasz „Waza” jednak nie potrzebuje jego pomocy i ze zwinnością ryby wymija zatopione w wodzie znaki portowe. Parowa syrena gwiżdże raz i drugi i oto jesteśmy wewnątrz grobli, wpośród całej flotyli monitorów i torpedowców, zdążających do Karlskrona,

jedynej większej twierdzy morskiej Szwecyi, którą wczoraj mineliśmy. Jeszcze jedno sapnięcie maszyny, jeden jeszcze szczepek łańcuchów i już pomost „Wazy” opada na brzeg; jedni wysiadają, drudzy, wstąpiwszy na pokład, szukają sobie odrazu kajut i legowiska nocnego, inni jeszcze, jak ja, przyglądają się życiu portowemu. A wtem, zupełnie niespodzianie, z po za chmur czarnych wyziera słońce, rzucając całe snopy złotych promieni na wieże Kolmaru, na statki, groble i łodzie rybackie.

Spoglądam na przebytą przez nas drogę. Bronzowo-czarne zatopy chwieją się teraz lekko, falując niezmiernie miękkim, jedwabnym błękitem. Wdali Oeland zielonogrzbietna błyska kilku oknami chat rybackich, a potargane i brudne żagle kipp i bark zdają się być tkane z różu i fioletu. Otwieram zdumione oczy i patrzę, patrzę i nie mogę się widokiem nasycić, a jakiś głos wewnętrzny rozbrzmiewa mi w duszy wedyckim hymnem na cześć słońca:

O wieczne, niegasnące, niedosiężne, życiodajne!

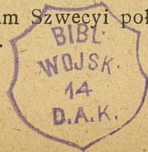
III.

Długo jeszcze po zachodzie słońca, bo blisko do godziny jedenastej, nie schodziłem z pokładu, przyglądając się światu przy świetle szarego zmierzchu tych krain. Dawno już zniknęły nam z oczu latarnie kolmarskiego portu, a ciągle jeszcze płyneliśmy cieśniną pomiędzy ładem szwedzkim a przeszło 100 kilometrów długą Öland. Największa ta z wysp Bałtyku, płowym lasem brzozowym porośła, wyżywia zaledwo kilka tysięcy chłopów i rybaków. Przed laty trzydziestu kilku cieszyła się pewnym rozgłosem; poprzednik króla Oskara, Karol XV, zjeżdżał na nią rokrocznie na polowania, podczas pobytu swego świadcząc miejscowej ludności wiele dobrego. Wdzięczny naród uczcił też z własnego popędu łaskawego króla, kładąc wśród ruin starożytnego, bo w XII wieku przez Karola Knutsona zbudowanego zamku Borgholm, olbrzymią płytę granitową z napisem: „Ku wiecznej pamięci Karola XV”. Karolowi XV też zawdzięczają ölandczycy dobrą sławę i wziętość morskich kąpiel, na północnym cyplu wyspy położonych i od ruin zamku również Borgholmem zwanych, gdzie do dziś dnia arystokracja szwedzka chętnie spędza letnie miesiące.

Dzięki spokojnej fali, posuwamy się naprzód znacznie prędzej niż poprzednich dni, i oto chwila jeszcze, a zrównamy się z najdalej na północ wysu-

niętami rafami Ölandu, o które fala rozbija się bezustannie i białe plamy po toni rozrzuca. Odtąd kołysze się „Waza” znów na pełnym morzu i znów leży przed nami niezmierna płaszczyzna wód, na krańcach od wschodzącego księżyca mosiężnych pełna blasków. Na całym bezmiarze jeden tylko punkt czerni się przed nami i z każdą chwilą powiększa się i rośnie. To „Blaue Jungfrau”, olbrzymia, samotna wśród topieli skała. Żyło niegdyś w górskich dolinach Dalarne ¹⁾ młode dziewczę, wbrew woli rodziców darząc miłością potomka wrogiej rodziny sąsiedzkiej. Prześladowanie obustronne dwóch poważnionych rodów zmusiły kochanków do wywędrowania w świat. Ale nawet gorzkiego chleba tułactwa pożałowano im i krewni dziewczyny puścili się w pogoń za zbiegami. Oboje uciekali jak mogli, ale nigdzie nie zdołali się ukryć przed złością ludzką. Więc w przystępie rozpaczycy pochwycił kochanek swą dziewczynę i zaczął brnąć przez morze. Uciekali coraz dalej przed ścigającymi ich łodziami, aż wreszcie wody poczęły być tak głębokie, że tylko trzymając ukochaną nad głową, zabezpieczyć ją mógł od wściekłości morza. Uszli spory kawał od brzegu, gdy wtem młodzian zapadł w zagłębienie dna, a słona topiel na zawsze zatamowała mu oddech. Widząc to dziewczę, skamieniało ze zgrozy, i kiedy pościg się zbliżył, ujrano już tylko wielką skałę, wzniesioną nad fale, martwą i nagą. Tak opowiada lud o Blaue Jungfrau, która, prawdę mówiąc, kształtem swym nie przypomina zgoła ludzkiej postaci i jest znacznych rozmiarów rafą, opadającą stromemi krzesanicami wprost do wody. Wyładowanie na nią nie należy bynajmniej do łatwych zadań nautyki, nie też dziwnego, że kiedy przed dwoma laty dziennikarz sztokholmski, Werner von Heidenstamm, odprawił na tej

¹⁾ Okolice górzysta, w centrum Szwecji położona, znana powszechnie pod nazwą Delekarlii.



rafie swe gody weselne, wszystkie gazety opisywały tę niezwykłą uroczystość, podziwiając sprawność i odwagę marynarzy. Niewesoło jednak zakończyło się to ekscentryczne weselisko. Wskutek porozpalanych nocą ognisk, które wędrujące morzem statki wzięły za sygnały brzegowe, mnóstwo parowców i większych łodzi rybackich zmieniło swój kierunek i chwilowo zbłąkało się, a pan młody musiał swe dziwactwo opłacić wcale znacznymi karami pieniędzmi.

Mimo bardzo zimnego podmuchu, postanawiam dla pełni księżyca noc całą spędzić na pokładzie. Otulony w swój włochaty hawelok, jak kot w kłębek zwijam się na płóciennym fotelu i patrzę wokół. Księżyc, zrazu miedzianej czerwieni, bieleje coraz bardziej w miarę tego, im wyżej wbiega na strop niebieski i gasi doszczętnie największe nawet gwiazdy. Świat cały zamienia się w jedną mroczną przestrzeń. Opar na krańcach horyzontu całą skałą szarych tonów stapia w jedno ciemną topiel i jaśniejsze nieco niebo; nigdzie twardych konturów, nigdzie zdecydowanych kształtów, wszystko wokół miękkie, niezmiernie przestrzenne i powietrzne. Łagodny ruch statku sprawia, że zda się, człowiek wolnym stał się ptakiem i nie-skrępowany niczem, w próżni się kołysze.

Ten swobodny lot ma jednak przymusowy niemal kierunek, a jest nim smuga światła księżycowego, co poczynając się kędyś w zamierzchłej dali, przebiega aż do statku, i od której oczu niepodobna oderwać. Patrząc w nią, wędruje się po niej, jak po drabinie Jakóbowej, kędyś w światy inne, wędruje się cicho i słodko, na każdym szczeblu spotykając się z aniołami, co skrzydła na spoczynek złożyły na wzór motyli śpiących.

I najszczęśliwsi na świecie nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładą,

Można je kłaść na ramionach w szalecie szwajcarskim, lub w lodowej grocie, szepcąc *Ave Maria*,

ale nigdzie duchem i myślą nie można tak wypocząć, jak w samotności na ostępach morza.

W półsennej zadumie doczekałem około godziny trzeciej wschodu słońca. Jest on na morzu oryginalny, ale nie tak piękny, jak na lądzie, odpada bowiem cała kolorystyczna strona zjawiska. Ciekawą jest tylko chwila bezpośrednio przed ukazaniem się pierwszego rąbka gwiazdy dziennej, kiedy blask jej prześwieśla ostatni widzialny kraniec fali. Potem, gdy już sam złoty krąg się wyłoni, cały widnokrąg rozjaśnia się tem samem jednostajnem, żółtem światłem, a potem białem, dziennem. Być może, że przy zachmurzonem niebie nie brak i na morzu kolorystycznych efektów rannej i wieczornej zorzy, przez cały jednak ciąg mej podróży nie udało mi się tego zaobserwować na Bałtyku, zarówno jak na oceanie.

Był to już trzeci i ostatni dzień naszej wędrówki przez morze, które za dotychczasowe znęcanie się nad nami sypnęło nam w dniu tym hojną ręką całe bogactwo swej krasy. Nigdzie, na całym stropie, ani śladu mgły lub chmury. Ton spokojna, pokorna i jakby żałująca poprzedniej swawoli, cicha bezmiernie. Barwy jej niepodobna określić. Błękit przeważa wprawdzie, ale nie jest jedynem jej zabarwieniem, zależnem wyłącznie od tego, co się w danej chwili w falach odbija. I tak wystarczy smuga czarnego dymu parowca, ażeby wprost pod nią woda przybrała ciemnobronzowy odcień, wystarczy najlżejszy podmuch, ażeby zmierzwić bławatkowy atlas zatopów i nadać im odcień srebrzysto-zielony, dość wychylić się za burłę, aby pod stopami ujrzeć zupełnie czarną głębię, podczas gdy znów patrząc pod słońce, widzi się miliardy świecących plam, ruchliwych jak iskry, albo ławica złotych rybek. Taka gra barw i światła nie ustaje na morzu ani na sekundę i nigdy nie można się do syta jej napatrzeć; widząc ją, rozumie się dopiero niektórych malarzy, którzy jak Böcklin np., malując morze, pokrywają płótno tysiącami niezmiernie dro-

bnych, tęczowych plamek i dzięki im osiągają istotnie zupełne złudzenie morza.

Lecz oto wkrótce skończy się nieograniczony nieczem widnokrąg. Przed nami błyska w słońcu wysmukła wieża latarni morskiej na wysepce Ojō, pierwszej z szerów ¹⁾, między którymi popłyniemy już ciągle aż do Sztokholmu. W godzinę później jesteśmy już wśród nich. Zrazu przedstawiają się one monotennie i posępnie. Kopulaste, wodą oszlifowane skały, tu i owdzie porośnięte lichą trawą. Czasem wśród rozpadliny zaczerwieni się samotna lepianka rybackiego holmu, czasem błysnie do złomów przyczepiona altanka strażnicza, na której nocą płoną światła sygnałowe, zresztą pustka i martwota. Ludzi nie widać nigdzie, choć dość kilkunastu metrów kwadratowych skały nagiej, aby się na niej człowiek osiedlał. Prawdziwie, patrząc na te odcięte od całego świata ludzkie sadyby, trudno oczom wierzyć, że wśród tych pustek człowiek wyżyć może i że wśród nich żyć chce. Lecz dla większości ich, jakkolwiek swe gniazda pobudowali na rafach, nie dom jest domem, lecz morze. Całe dnie żyją na niem w łodziach i czółnach, dlatego widzialne z pokładu chaty zdają się opuszczone, jakby wymarłe. Mijamy je nieraz na odległość kilkunastu metrów zaledwie, tak wąskie bywają przesmyki, wśród których „Waza” wywija się ustawicznie. Śledząc bieg jego, zdaje się, że lada chwila zapędzi się w jaką ślepą gardziel, z której niema wyjścia, tymczasem, gdy się już w taką gardziel wpłynie, nagle wśród skał otwiera się nowa droga, a gdy i ta już zda się mieć swój kres w małej zatoczce, nagle za skalną wantą odsłania się szeroki pas wód, niby kanał wenecki, uchodzący w większy, kilkume-

¹⁾ Szerami zwą się ostatnie skaliste wyrostki lądu. zatopione w morzu i stanowiące cały labirynt mniejszych i większych lesistych wysp.

trowy „fjärd” ¹⁾, za którym znów zaczyna się płatanina wąskich przesmyków i szlaków wodnych.

Dzięki takiemu ustrojowi szerów, żegluga pośród nich należy wprost do rozkoszy. Co kilka minut nieledwie cała scenerya zmienia się i przeobraża i coraz to odmienne widoki nęcą oko. Im bardziej zbliżamy się do Sztokholmu, tem lśistsze i większe jawią się wyspy. Coraz też częściej pośród zieleni migają wille bogatych kupców i przemysłowców sztokholmskich, hotele lub łazienki. Okolice te bowiem zamieniają się latem w formalne miasto i cały zamożniejszy Sztokholm spędza tu narodowe święto Mittsommer lub wakacje nawet. Niemniej wysepki te ciche, niezmiernie zielone i przeglądające się w błękitnych, marzących wodach „Saltsyo” ²⁾, służą zazwyczaj młodym ludziom za miejsce romantycznych schadzek. W społeczeństwie, gdzie tak... liberalnie patrzą na stosunki między mężczyzną i kobietą, bardzo rozpowszechnionym jest zwyczaj, że dwoje młodych ludzi, częstokroć rok okrążyła zdala od siebie mieszkając, umawia się listownie, że w tym a w tym czasie, na tej a tej wysepce spotkają się i razem lato spędzą. Schadzki te po większej części, choć nie zawsze, mają podkład zmysłowy i są zazwyczaj wstępem do małżeństwa, jak to w noweli swej Meeresvögel opisał z ogromną poezją Ola Hanson. Oprócz jednak takich samotnych wysp, zamieszkałych przez jedną lub dwie rodziny rybackie, oprócz szerów, będących prywatną własnością zamożnych Szwedów, znajdują się tu także wyspy tak rozległe, że całe miasteczka mieszczą się na nich wygodnie.

Właśnie minawszy Fridriksborg, jedyną na nowożytny sposób zbudowaną twierdzę, której zadaniem

bronić wjazdu do portu sztokholmskiego, mamy przed sobą takie miasto, amfiteatralnie wznoszące się od brzegu i oparte plecami o ciemną ścianę gęstych, świerkowych lasów. Kapitan objaśnia mnie, że to Waxholm, o godzinę już tylko odległy od stolicy. W tej chwili przechodzi mi przez myśl, że tu mieszka przyjaciółka nasza i wielbicielka naszej literatury, panna Ellen Wester, i machinalnie notuję sobie w pamięci, że oczywiście należy się złożyć jej wizytę.

Za Waxholmem droga wodna rozszerza się nieco. Coraz też więcej na niej czóten żaglowych, sterowanych drobną ręką jasno odzianych pań i panien. Również uwija się po niej mnóstwo małych parowców spacerowych, łączących willegiatury ze stolicą. Tu i owdzie kołyszący się majestatycznie śrubowiec zdradza bliskość portu. Istotnie w dali, wśród zielonych wzgórz i skał, widać już kominy młynów i słysząc stuk młotów, kujących w dokach żelazne płaszcze statków. Za nimi, na tle wieczornej zorzy, rysują się wieże kościelne Riddarsholmu i olbrzymi sześciąt „Kungsolottet”, królewskiego zamku. Mijamy Skepsholmen (czytaj Szepsholmen), wyspę, na której się mieszczą szkoły marynarskie i zupełnie nagle i niespodzianie wpływamy między tłum statków, stojących na kotwicy u kamiennych bulwarów Skepsbronu. Widok miasta, rozłożonego na wyspie i dwóch wzgórzach, jest wprost porywający. Dreszcz niecierpliwości ogarnia mnie całego. Poddawszy się celnej rewizyi, wyskakuję na ląd.

¹⁾ Fjärd po szwedzku znaczy to samo, co fjord po norwesku, t. j. głęboką zatokę w górach.

²⁾ Salzsee — morze.

IV.

W zamierzchłej przeszłości, bo w XI i XII stuleciu, najznacześniejszymi grodami Szwecji były „Sigtuna” i „Gamla” Upsala ¹⁾. Dopiero Jarl Birger z Bjelbo około 1250 roku zajął się założeniem twierdzy dla poskromienia korsarskich Estów i Karetów i wyszukał na ten cel wysepkę, która zawałiła progiem skalnym upływ Mälaru do Saltsjö. Drewniane zrazu budynki, co kilkadziesiąt lat ogniem w perzynę obracane, zastąpiono z czasem trwalszą, kamienną budową; brzeg morza, zarówno jak i brzeg Mälaru, ujęto w drewniane, potem kamienne bulwary, wzniesiono Storkyrkan ²⁾ stary kościół tuż przy zamku królewskim, zabudowano uliczki i place i tak powstał „Staden”, stary Sztokholm, oblany wokół wodą. Wkrótce jednak mała wysepka za szczupłą się okazała dla wzrastającej wciąż ludności i miasto zaczęło się rozpręzać ku północy, na ląd stały, pokrywając wzgórze zwane Normalm szeregami domów i rzucając przez bardzo bystry upływ Mälaru cudowny, granitowy most Norbro, na jednym końcu oparty o gigantycznych rozmiarach zamek królewski, na drugim rozszerzający się w plac Gustaw Adolfstorget, plac ograniczony od zachodu pałacem następcy tronu, od wschodu gmachem opery królew-

skiej. Z biegiem czasu zaczęły się ulice Normalmu coraz bardziej oddalać od centrum miasta, od Staden, więc czyje życie związane było z portem i handlem, albo kto zachował w sobie romantyczną fantazję Wikingów, poglądał coraz pożądlivszem okiem na czarne dzikie złomy, piętrzące się nad Staden od południa i przemysliwał, jakby na nich uwić sobie gniazdo. Granitowe szkarpy pocięto też wkrótce na szereg stopni i teraz z wyłupanego kamienia powznoszono gmachy kilkupiętrowe, oparte o żywą i, niestety, wiecznie wilgotną skałę i stworzono w ten sposób niejako drugie piętro Sztokholmu, zwieszające się wprost nad stolicą Södermalm. Wskutek takiego ukształtowania miasta oryentowanie się w niem dla turysty, z wyjątkiem bądź w Mälarze, bądź też w Saltsjö zatopionych, a do miasta włączonych wysp, jest niezmiernie uproszczone i łatwe. Nadto dzięki górzystości ulic i tu i owdzie z pośród stołecznej kultury nagle wyskakującym, zupełnie pierwotnym, dzikim i poszarpanym skałom, ma się prawie ciągle plan miasta przed oczami i bez obawy zabłąkania się można odrazu puścić się na wędrówkę wśród spletanych i pogmatwanych ulic.

Okolo godziny 7-ej wybiegłem z hotelu de Frankfurt przy Skepsbron, a więc w starym mieście, aby przyjrzeć się rannemu życiu Sztokholmu. Na wstępie spotkał mnie mały zawód. Przekonałem się mianowicie, że słynący ze swej pracowitości naród, przy najmniej stołeczny, lubi długo sypiać. Nawet na całym świecie na weczesne wstawanie skazani piekarzykowie nie snują się jeszcze ze swymi skrzypiacami i pachnącem pieczywem naładowanymi koszami. Ulice poprostu puste. Mówiąc: ulice, używam niewłaściwego wyrazu, należałoby je nazwać szczelinami. tak są wąskie i ciemne. Szczeliny te jednak prowadzone z pewnym planem i jak szprychy koła, pomiędzy które powplatano jeszcze tu i owdzie poprzeczne pręty, zbiegają się one wszystkie w najwyższym punkcie Staden, którym jest stary rynek Stortorget. Każ-

¹⁾ Gamla — Stara.

²⁾ Kyrkan czytaj czyrkan.

dy, kto w Staden, nie schodząc na boki, idzie ciągle pod górę, musi się znaleźć na tym miniaturowym placu, który wąską szczytą łączy się z tylnym podwórcem królewskiego zamku. Dziś otacza Stortorget szereg starych kamienie, a jeden jego bok stanowi gmach giełdy. Ale wystarczy zeprzeć się na zdobiącej środek placu studni i zamysleć się chwilę, a oto drobne kostki bruku zaczynają się w oczach rumienić i żywym ociekać korałem. Z purpurowej jego fali powstają dziwnie krwawe opary i wiążą się w szereg cieniów białych. Z karków ich pluska strumieniem krew, drżące ręce szukają toczącej się po bruku własnej głowy, a tam dalej przy pieńku, o który jedną nogą oparł się barczysty rębacz w czerwonym kapturze, klęczy jasnowłose pachole, ostatni z możnego rodu Bonde, i szepce do kata: „tylko niech mi pan tak jak bratu nie powala krwią sukienki nowej”. Dziecinna naiwna prośba wytrąca katowi z rąk morderczą siekierę, więc składa ręce i odmawia dalszej służby, a patrzący na to z okien zamku król Chrystyan II rozkazuje włączyć opornego sługę do liczby tych, którzy dopiero pójdą na szafot. I znów siekiera błyska w powietrzu, znów sędzia siepacz odczytuje wyrok za rzekomą zdradę i dalsza głowa stacza się z pnia na bruk wprost... pod me stopy! Zrywam się z miejsca przerażony, lecz i uspokajam zarazem, widząc, że głowa, co mi się pod nogi stoczyła, jest wielką bułką, którą zgubił ręczny wózek, przejeżdżający mimo: W ślad za nim toczy się konny wóz na dwóch kołach, kształtu wąskiej drabiny, zaprzężony w jednego, lecz tęgiego konia. Za nim inne, tej samej formy, bo jedynie tak wąskie pojazdy mogą się zmieścić w tych uliczkach, jakkolwiek nie wyminąć. Ich turkot dudniący w zaułkach budzi słońca nigdy nie oglądających mieszkańców i jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, całe miasto nagle ożywia. Za chwilę ruch uliczny jest już w pełnym toku. Otwierają się sklepy, urzędy i kantory. Zwracam baczna

uwagę na ludzi. Mężczyźni rośli i barczyści, nie dbale trochę odziani, małowówni, a jeśli się odezwą, to kłatwą. Kobiety wysokiego wzrostu, w plecach szersze niż w biodrach, dłonie i stopy niepomierne wielkie, cera brzydka, bo albo piegowata, albo od ostrego powietrza rdzawym zniszczona rumieńcem. Ogólny typ nieładny, a jednak sympatyczny, podobny nieco do słowiańskiego. Odmienny nieco wygląd ma ludność innych dzielnic miasta, zamieszkałych przez klasy zamożniejsze, klasy inteligencji, odziane starannie i żyjące dostatnio. Przeciawszy stary Sztokholm w poprzek, wychodzę nad brzeg Mälaru i przez Norbro wędruję ulicami Normalmu.

Tutaj, zwłaszcza na głównej arterii, Drottninggatan¹⁾, ruch już bardzo znaczny. Tramwaje, wszędzie wskutek górzystości miasta dwukonne, posuwają się szparko z rozmachem rosyjskiej trójki w hołoblach. Wozy ciężarowe, normalnej szerokości, choć przeważnie dwukołowe i kształtu rydwanów, wymijają bardzo zręcznie dorożki i powozy. A wśród tej masy pojazdów i pieszych uwija się takie mnóstwo cyklistów, że tu i owdzie tamują ruch pieszy i przy silnym zawrocie głowy, na który narażeni są wszyscy, po raz pierwszy przybywający z południa do Sztokholmu, staje się formalną plagą uliczną. Bicykl bowiem przestał oddawna być tutaj rzeczą sportu i znalazł powszechne zastosowanie, jako środek lokomocyjny. Bynajmniej do rzadkości nie należy porządkowy numer bicykla nad trzydzieści pięć tysięcy i jeśli się zważy ludność Sztokholmu, okaże się, że co dziewiąty człowiek posiada bicykl i posługuje się nim dla oszczędzenia drogiego czasu.

W górnej części Drottninggatan mieści się w kilku domach tymczasowo umieszczone Nordische Museum, powstanie swe zawdzięczające jednemu człowiekowi,

¹⁾ Gatan — ulica.

D-rowi Hazelias, który od 25 lat gromadzi w niem wszystko, cokolwiek się odnosi do życia ludów i natury północnej. Będąc przy niem, postanawiam je zwiedzić. Daremnie jednak kołaczę do jednej, drugiej i trzeciej bramy. Wszędzie pozamykane. Okazuje się, że zbiory etnograficzne, najciekawsze ze wszystkich, pakują się właśnie w skrzynie, aby przenieść się na stałą i pyszną siedzibę do gotowego już pawilonu nowego muzeum na Djurgråden ¹⁾ i że obecnie nie można ich będzie widzieć. Gdy zaś równocześnie inne działy i zbiory tegoż dnia również były dla publiczności zamknięte, rozgniewany, wyrzekam się wogóle myśli oglądania ich. Później, gdy oglądałem część tylko zbiorów, pomieszczoną w kilku pawilonikach Djurgårdenu, pożałowałem tego na razie i pocieszyłem się dopiero w Tronthjem, gdy ujrzałem etnograficzny dział tamecznego muzeum, oprowadzany przez dyr. Thisa i mając w tym niezmiernie sympatycznym Norwegu fachowo wykształconego cicerone.

Zawróciwszy się jak niepyszny z pod bram Nordische Museum, poszedłem odszukać Upplandsgatan i Bäckströmoir. Wyjazd ich, a więc niemożność widzenia się z nimi, dobiły mnie do reszty. Ze zwieszoną głową wracam do Staden i znalazłszy się na Norbro, oglądam zamek królewski. Jestto olbrzymia budowla, o prostokątnych i prostych, ale harmonijnych kształtach. Główny środkowy jej kadłub opada ku Norbro dwoma tarasami, strzeżonemi uwjazdu przez Lejonbachen, t. j. olbrzymie, brązowe lwy. Po bokach głównej budowli, 124 metry długiej, wznoszą się dwa mniejsze pawilony: jeden frontem do Saltsjö z pomnikiem Gustawa III u stóp, drugi zwrócony do Mälaru, dwoma półkolistymi skrzydłami obejmujący posterunek zamkowej gwardyi. Dla zwiedza-

jących otwarty jest zamek cały dzień, a warto u progu każdej sali wetknąć kamerdynerowi w rękę koronę, aby obejrzeć pyszne komnaty, rzeźby, malowidła i tym podobne dzieła sztuki lub pamiątki historyczne, nagromadzone tu od wieków. Najpyszniej przedstawiają się t. zw. Festivitelsvaniug, zamieszkiwane niegdyś przez Karola Jana XIV. Niepodobna mi jednak wdawać się w szczegółowy ich opis, tembardziej, że wkrótce miną godziny, w których otwierają dla publiczności Riddarskyrhan-Ritterkirche, kościół przeznaczony wyłącznie na groby królewskie. Jedno też tylko jeszcze przelotne spojrzenie z okien zamku na wody Mälaru i willami pokryte brzegi górzyste i już zbiegam po schodach na bulwar portowy i przez Riddarhustorg wchodzę na mały placyk Riddarholmu. Tu uderza najpierw oko prześliczny posąg Jarl Birgera, założyciela miasta, odlany w bronzie i ustawiony na smukłej, z zielonego, szwedzkiego marmuru utoczonej kolumnie. Jestto jeden z najpiękniejszych pomników Sztokholmu, o którym później wspomnimy. Tymczasem przez uchylone nieco drzwi wchodzimy do wnętrza kościoła. Pierwsze wrażenie, jakie w nim odbieram, jest wysoce nieprzyjemne. Publiczność w kapeluszach, śmiechy, nawoływania, ani śladu pietyzmu dla „narodowego pamiątek kościoła”, opiewanego przez Tegnera. Mam pełną świadomość tego, że jestem tu obcy, mimo to czuję w sobie jakiś głęboki szacunek dla tych zmierzchłych ścian i nawet pewne zatrwożenie, a może i wstyd. Śród potarganych proporców, zwieszających swe przetłäste strzepy nad sarkofagiem Gustawa Adolfa, nad grobami różnych innych Gustawów i Karolów wisi tam pewno niejeden zdobyty na mojej ziemi. Więc jestem dziwnie pokorny i cichy i myślą odchodzę kędyś wstecz, źle mi jest i w gardle mnie coś dławi i zasepiony wychodzę na miasto, aby się jęgo hałasem i ruchem upoić.

¹⁾ Thiergarten — park skalisty nad Saltsjö, miejsce spacerów i koncertów letnich.

V.

Brzegiem kamiennego bulwaru nad Mälarem, przeciskając się przez szeregi straganów z owocami i pieczywem, wydostaje się na słuzowy most, łączący Staden z Södermalm, po podniesieniu którego mniejsze statki i kipy¹⁾, naładowane drzewem Finlandyi, mogą się przedostać z Saltsjö do Mälaru. Niema godziny jednej w ciągu dnia, żeby przez ten kanał nie przeprowadzono jakiegoś żaglowca, ruch jednak miejski nie ustaje tu ani na chwilę, bo dwa skrzydła mostu naprzemian podnoszą się i opadają, nie tamując ani pieszych, ani jezdnych. Stoję wśród gromadki gapiów, których tu nigdy nie brak i przyglądam się holowaniu rybaczej barki z jednej komory słuz do drugiej. Nie tyle jednak zajmuje mnie ta przeprawa łodzi, co stromo, prawie nad naszymi głowami wznoszące się ściany Södermalmu i jego do skał przyczepione gmachy. Wedle możliwości przeprowadzono w tej części miasta ulice w zakosy.—Idącym pieszo oszczędzono zupełnie wspinania się po stromych brukach przez wybudowanie t. zw. *Katharinahissen*, to jest blisko sto metrów wysokiego elewatora, z którego szczytu rzucono długi żelazny pomost, uchodzący wśród najwyższych położonych ulic Södermalmu. Żela-

zna konstrukcyja tej windy widoczna jest ze wszystkich punktów miasta i naodwrot, znikąd niema się tak pysznej panoramy Sztokholmu, jak z balkonu miniaturowej restauracyi, pomieszczonej na wierzchołku wieży. Zapłaciwszy 5 örów przy turnikiecie, znajduję się wraz z kilku paniami w małej klateczce. Konduktor ciągnie raz i drugi za drucianą linę i równo i spokojnie środkiem żelaznych rusztowań wznosimy się w górę; nie para bowiem jest tu motorem, ale system przeciwwag, regulowany przez służbę pod wieżą i u jej szczytu. Chwila jeszcze, a oto zapadła sprężyna i z chwilowego więzienia wychodzimy na galerię asfaltowaną. Tutejsi idą dalej pomostem do zajęć swych i domów, ja zaś po kilku schodkach wdzieram się na platformę, a zarazem dach elewatora, zamawiam obiad i rozglądam wokół.

Widok, który się ztąd roztacza, niema sobie równego w całym świecie. To niezmierne bogactwo żegluga żywionych wód, które po jednej i po drugiej stronie *Staden* się rozlega, dzika pierwotna natura, kontrastująca z zupełnie nowożytną i wielką kulturą, na krańcach horyzontu zaś jasna zieleń nieprzerzanych okiem lasów brzozowych—wszystko to złane gorącym złotem popołudniowego słońca, wydaje się poprostu czemś bajecznem, jakąś *fata morgana*, wizją senną, ogladaną z lotu ptaka, czemś, co istnieje realnie, a jednak dla dziwnej miękkości linii i światła zdaje się być tylko widzeniem fantastycznym. Oko, nie ciekawe szczegółów, ślizga się po ulicach, biegnących wprost pod stopami, pomija smukłe wieże *Tyska*²⁾ i *Riddarkyrkan*, nie dba o tysiące lin kablu i drutów telefonicznych, które osnuty gmach i oczko centralnej, ani imponujący rozmiarami sześcian królewskiego zamku, nie stara się rozplątać się ulic po za

¹⁾ W języku żeglarskim pewien rodzaj wielkich łodzi.

²⁾ Tysk—niemiecki.

Staden ku północy w wachlarz rozłożonego *Normalmu*, jeno jednym rzutem obejmuje wody, skały, miasto i otaczające je lasy i w dali ku wschodowi widne szery i błękit nieba nad tem wszystkim rozpięty. *Feenhaft*—szepece jakiś Niemiec, stojący obok mnie z *Baedeckerem* w ręku. Istotnie — „rusałczany,” to jedyne jeszcze określenie widoku, który z *Katharina-hissen* się roztacza.

Posiliwszy się, zbiegam, a właściwie zjeżdżam znów w miasto. U stóp elewatora spostrzegam konny pomnik Karola XIV Jana, bardzo dzielnie modelowany. Odtąd zwracam baczność uwagę na tego rodzaju ozdoby ulic. A jest ich tu względnie niepomierne mnóstwo. Podobnie jak w Grecyi, obfitość kamienia przyczyniła się tu do rozwoju rzeźby i Szwecya, a zwłaszcza jej stolica, mieści w sobie wielką ilość dzieł snycerskich pierwszorzędnej wartości. Pomniawszy kilka klasycznych wprost marmurów mieszczących się w muzeum narodowym, jak *Tobiasza Sergel* popularną zresztą grupę „*Amor i Psyche*,” jak dzieła takich mistrzów jak: *Gustaw Goette*, *Byström*, *Fogelberg* i *Molin*, posiada Sztokholm ni mniej, ni więcej, tylko 16 monumentalnych pomników królów lub uczonych, kilka pięknych studni i fontan i natchnioną podług głębokiej północnej poezyi grupę „*Zapaśników*” *Molina*. Ta znaczna ilość pomników uderza wędrowca tembardziej, że przy zacieśnieniu wskutek składu całego miasta, spryka się je literalnie co kilka kroków. I tak w *Staden*, znacznie mniejszem niż *Kraków*, w obrębie plantacyi, oprócz wspomnianego powyżej *Karola XIV Jana*, spogląda spiżowy, na wiosle wsparty *Gustaw III* na *Saltsjö* i ruch floty, o której rozwój dbał tak za swego panowania.

Nieco powyżej niego, na tylnym podwórzu *Kungslottet*, strzela w górę obelisk kamienny, wystawiony na cześć ludu szwedzkiego przez wspomnianego dopiero *Gustawa III*, za wierność i pomoc z jego strony w walce z kokoszem możnowładztwem, oraz za zło-

żenie w ręce króla prawa decyzji o wojnie i pokoju, która to zmiana konstytucyi ocaliła Szwecyę od podboju Rosyi, choć przyniosła zgubę młodemu królowi z rąk *Ankarströma* podczas maskowego balu w karnawale 1792 roku.

Ledwie przez najszerszą w staromieściu ulicę *Lilla Nygatan* uszło się kilka kroków, a oto już przed mostem, wiodącym na *Riddarholm*, spotyka się oko w oko z brodatym, uwieńczonym laurem i z hiszpańska odzianym *Gustawem Wazą* na granitowym cokole, dłuta rzeźbiarza *L'Archevéques*. Posąg ten jest może najmniej udatnym ze wszystkich pomników Sztokholmu i nie z pod szwedzkiej wyszedł ręki. Brak w nim harmonii kształtów, dzięki czemu jest on rażąco antytezą nieco dalej, przed kościołem *Riddarholmskirhan* wspartego na mieczu *Jarl Birgera*, odlanego w bronzie według modelu *Fogelberga*. Prawdziwa jednak powódź pomników mieści się nieco północniej, w dolnej części *Normalmu*, tuż przy *Norbro*. Na przestrzeni równej rynkowi krakowskiemu, zabudowanej jednak gęsto i przeciętej małym (jak wszystkie tutejsze) publicznym parkiem *Kungsträdgård*, wznoszą się: konna statua *Gustawa Adolfa* na placu tej samej nazwy pod operą, po za nią śród zieleni spiżowy *Karol XII* z wyciągniętą ręką, jakby wskazywał, gdzie szturm należy przypuścić, za awanturnikiem zaś poławskim przesłiczna fontanna pomysłu *Molina*, a jeszcze głębiej, przyczajonemi lwami, dłuta *Fogelberga*, otoczony *Karol XIII*, przepyszne dzieło prof. *Goettego*, odlane w Paryżu. Nie koniec jednak na tem. Kilkadziesiąt kroków za *Kungsträdgård* wchodzimy na żwirowe ścieżki parku *Berzeliusa*, kędy nas z kamiennego cokołu wita zamyślona twarz uczonego chemika. Z *Berzeliipark* przenosi nas tramwaj w mgnieniu oka do największego ogrodu stolicy, do *Humlegården*, kędy za gmachem królewskiej biblioteki, z kwiatem i książką w ręce stoi genialny *Linneusz*, a powyżej niego, na skraju parku, młody *Scheele* zwiesił ramię nad jarzącym się

piecykiem i spoglądając na rozrzucone retorty, zdaje się myśleć: ile jeszcze, prócz selenu i telluru, uda mu się z siarki i jej rud wydobyć nowych, nieznanych pierwiastków?

Wszystkie pomienione pomniki—pomijam mniejsze, choć ładne, jak na przykład Bellmanna—odznaczają się pięknym kształtem ogólnych konturów i doskonałą proporcją poszczególnych części, a przedewszystkiem samych posągów. To nie karykatury wieszczów i uczonych, na które się u nas dwadzieścia lat czeka, a przetwarzając, coraz potworniejsze nadaje im się kształty—ale skończone dzieła sztuki. Przedziwną zwłaszcza robotą odznacza się ostatni ze wspomnianych posąg Scheelego, dłuta Börjesona z roku 1891. Rzecz prosta, pojęty on jest zupełnie *modern*, niezmiernie subtelny w pozie, wyrazie twarzy i udrapowaniu. Ze znanych mi kilkudziesięciu pomników jest to bodaj najładniejszy, a z pośród sztokholmskich przewyższają go jedynie zapaśnicy Molina.

Grupa ta, zwana po szwedzku „Bältespännarne,” przedstawia walkę na noże dwóch po gladyatorsku zbudowanych mężczyzn—walkę, będącą niegdyś w powszechnem użyciu w kraju i uprawianą jeszcze tu i owdzie w odległych zakątkach wśród prostego ludu. Dwaj, którym świat był za ciasny, wiązali się prawie pierś przy piersi rzemiennym pasem i póty mocowali, póki jednemu nie udało się zadać przeciwnikowi śmiertelnego pchnięcia krótkim, kieszonkowym nożem. Zazwyczaj i zwycięzca ginął z upływu krwi i walki te pięść na pięść kończyły się zawsze tragicznie. Nie inaczej pojął też swych zapaśników Molin. Płasko-rzeźby zdobiące cokół, dają nam prolog tragedyi i epilog, objaśniony runicznymi napisami, wyjętymi z ksiąg Eddy. „Niedobrem jest, choć je chwala, piwo dla synów ziemi; im więcej go pije, tem mniej myślą włada hołdujący mu mąż.” Oto tekst w otoczu reliefu, na którym widzimy dwóch druhów, rozmawiających przy pełnym kuflu. A wtem wchodzi do izby kobieca

postać—„w głupców zamienia mądrych synów ziemi miłości potęga”—wnet też obaj zrywają się od stołu i na trzecim reliefie „wyciągają z pochew mieczów, ostry brzeszczot ku radości złych duchów,” aby na wierzchu postumentu stoczywszy śmiertelny bój, osierocić żonę, czy kochankę, klęczącą na czwartej płaskorzeźbie przed głazem runicznym i szepeczącą w rozpacz: „otom się stała samotną, jak skorusza w gaju, odarta z krewnych, jak tram z konarów.”

Już sama koncepcja dzieła chwyta za serce i umysł głęboką swą poezią, a gdy się weźmie pod uwagę przepyszny rysunek walczących, ruchy ich i karnację i tę olbrzymią ekspresję, którą całość oddycha, trzeba przyznać, że żadna z dzieł przesławnego Thorwaldsena nie może się mierzyć z Bältespännarne Molina i że wogóle żadne ze znanych rzeźb nowożytnych nie jest zdolna wywołać tak wstrząsającego, a zarazem podniosłego wrażenia. Poprostu mówiąc, zapaśnicy Molina są skończeniem arcydziełem; nad nie nic większego nie stworzyła rzeźba nowszych czasów i bodaj nie stworzy. Szkoda tylko, że to arcydzieło wykonał artysta w małych względnie rozmiarach i że ustawiono je z boku Narodowego Muzeum, gdzie je niełatwo odszukać wśród otaczającej zieleni zagajenia.

Odbiegłem nieco myślą od Humlegarden, ale bawiąc jeszcze w obrębie parku, nie mogę pominąć królewskiej biblioteki i nie zająć do niej, choćby na chwilę. Księgi jej słyną na cały świat, w liczbie ich bowiem znajdują się jedyne a nieocenione dzieła; między innemi złotem na purpurowym pergaminie pisanie, gockie tłumaczenie biblij Ulfilasa, t. zw.: *Codex aureus*, biblia łacińska z dopiskami Marcina Lutra i *Gigas librorum*, zbiór 300 ogromnych i niezmiernie ozdobnych pergaminów z IX do XIII wieku, podczas wojny trzydziestoletniej złupiony w Pradze i do królewskich zbiorów włączony. Z zupełnie nowożytnych rzeczy można tu oglądać również nielada unikat—kartkę Andrégo, która na szyi gołębia przywędrowała

tu z dalekiej północy. Bohaterski podróżnik donosi w niej, że tam a tam się znajduje i że podróż odbywa pomyślnie. Od czasu jednak, gdy ta depesza doszła rąk ludzkich, upłynęło już przeszło dwa lata i zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Andrée i jego towarzyszy odbyli istotnie podróż w kraj... śmierci.

VI.

Wracając z Humlegården przez Arsenalsgatan, utykam oczyma na sklepowej wystawie starożytnych malowideł, bronzów i filigranowych cacek. Napis nad nią: Henryk Bukowski. Po chwili znajduję się na pierwszym piętrze, wśród muzeum starożytności, pomieszczonem w kilku obszernych i z komfortem urządzonych pokojach. Nad otwartą gablotą przedmiotów z epoki kamiennej pochyleni dwaj mężczyźni. Jeden młody, blondyn, trzepie po francuzku i wybiera dla siebie przycisk na biurko — drugi, wysoki, baczysty mężczyzna, siwizną przyprószony, z bardzo mądrym i spokojnym okiem za szklami okularów, pomaga młodszemu w wyborze. Wymieniam swoje nazwisko. Starszy jegomość ściska mi uprzejmie dłoń i zaprasza do tylnego pokoju. Tu zastajemy młodego człowieka, wertującego w katalogu powierzonych p. Bukowskiemu zbiorów prywatnych, które sprzedane będą na najbliższej aukcyi.

— Panie Pomian, przyprowadzam panu „dubeltowego kompatryotę.” Obaj „ma panie” jesteście Polacy, urodzeni w Sztokholmie, powinniście się więc poznać. Zabawiajcie się tu; oto „ma panie” poncz i papierosy, dobre, polskie, Komendzińskiego z Dreżna—objaśnia mnie specyjalnie—a jak się z panem Staalem ułatwię, przyjdę tu do was.

Pan Pomian-Hajdukiewicz spełnia odtąd honory do-

mu. Urodzony w Sztokholmie, wczesnie osierociał. Przeszedł szkoły szwedzkie i marzył o studiach w Upsali. Dla braku jednak środków musiał się wyrzec tej myśli i po-przestał na ukończeniu wyższej szkoły handlowej w Sztokholmie. Wnet też wstąpił w służbę komercyjną, przesiedlając 5 lat w Kongo w Afryce, uzyskawszy za powrotem posadę w towarzystwie eksportowem sztokholmskiem. Ma nadzieję z pomocą wpływowego tu p. Bukowskiego, dostać się do nowo utworzyć się mającej Akademii braci Nobel, aby Polacy mieli do niej łatwiejszy dostęp i nie potrzebowali, jak przed rokiem dr. Czołowski ze Lwowa, z trudem kołatać do tutejszych archiwów i bibliotek.

Zabawiamy się wspólną rozmową długą chwilę. — Wizyta jednak p. Staala, syna prezydenta konferencyi pokojowej w Haadze, przeciąga się długo, a że po niej zapowiedział jeszcze swą bytność ktoś z dworu królewskiego, więc gospodarz, zaprosiwszy nas na obiad na dzień następny, przeprasza uprzejmie i proponuje, abyśmy we dwójkę zrobili jaki spacer lub wycieczkę. Pan Pomian oświadcza, że służy mi najchętniej za przewodnika i obaj wybieramy się do Djurgårdenu.¹⁾

Z końcem zeszłego wieku i z początkiem bieżącego, rozlubowany w sztukach pięknych i wystawnem życiu Gustaw III i następca jego Karol XIV Jan, zamienili trzy i pół kilometra długą, a kilometr szeroką wyspę na Saltsjö w jeden rozległy, łąkami i dąbrowami ozdobny park. Czem dla Berlina Tiergarten, a dla Wiednia Prater—tem Djurgården dla Sztokholmu. Tu się mieszczą wędrownie budy woskowych figur, karuzele, huśtawki i tym podobne zabawy ludowe, tu zbudowano letni teatr i cyrk, tu rozbrzmiewa wieczorami muzyka z werandy najbardziej renomowa-

nego *etablissement* i restauracyi Hasselbachen z rozległym widokiem na morze i pamiętnym dębem, pod którym improwizował i zarazem przy dźwięku gitary komponował melode nawskroś narodowy poeta i muzyk szwedzki, Karol Michał Bellman, uczczony bustem i pomnikiem Byströma. Tu wreszcie wśród starannie utrzymanych ścieżek, zagajen, skał i strumyków znalazł pomieszczenie zwierzyniec skandynawskiej fauny i główny dział etnograficzny Nordische Museum, t. j. żywcem z różnych okolic kraju przeniesione typowe chaty i całe zabudowania gospodarskie, poczynawszy od szatry w skórę odzianych Laponczyków, a skończywszy na bogatych i stylowych domach włościan z Göthaland, z pośród których najbardziej nęci wędrowców domek Swedenborga, tak zachowany, jakim był przy zgonie sławnego uczonego i mistyka.

Wśród tłumu publiczności, której tu nigdy w piękne dni nie brak (a zwłaszcza dziś podczas koncertu siedmuset-głosowego chóru na dochód robotniczego domu sztokholmskiego), przebiegamy wzgórze i gaje. Tu za drucianą klatką biega skomląc gromadka lisów syberyjskich, tam para czarnych niedźwiedzi, ogromnie złośliwych i niebezpiecznych, a bardzo jeszcze licznych w okolicach górskich; mała figlami swemi śmieszy tłum dzieci, a dalej jeszcze, w małej sadzawce pluska się kilka fok, tak nieporównanie komicznych, że godziny całe można się im przyglądać i nie znudzić, widząc ich dziecinne twarze i igraszki. Lecz oto mijamy obszerną zagrodę, wśród której stado renów szczypie nędzny skalisty porost, i wchodzimy do jakiejś chaty. Mój *cicerone* objaśnia mnie, że to chata chłopska z okolic Karlskrony, zbudowana w początkach XV-go wieku i zastawiona sprzętem tamtoczesnym. Formalnie osłupiałem. Szafy, stoły i łóżka rzeźbione i inkrustowane, a chociaż podłoga jest tu klepisko, na półkach świecą się rzędem miedziane, przedziwnej roboty rondle, srebrne nalewki i złoczone kubki. W świetlicy intryguje mnie blisko metr długa, a pięć szero-

¹⁾ ą czyta się jak długie o.

ka, jak hebel stolarski, rączką na wierzchu opatrzona deska, grubości cała, pokryta rzeźbą i polichromią. To magiel ręczny, którym niegdyś międlono bieliznę. Obok niego rodzaj głębokiej bardzo patelni, nakrytej wykuwanem ażur wieczkiem na zawiasce. Jestem święcie przekonany, że to jakiś poczesny sprzęt kuchenny; towarzysz jednak objaśnia mnie, że przeznaczeniem tej patelni było ogrzewanie łóżka za pomocą gorącego piasku i że sprzęt ten wnika głęboko w obyczajowe życie dawnych Szwedów, będąc koniecznym podarkiem panny młodej dla narzeczonego, a zarazem świadectwem jej zamożności i przywiązania.

A oto i łoże małżeńskie, rzeźbione w drzewie w kształt baldachimu i osłonięte firankami. Obok niego kołowrotek misterny, krzesła obciążnione tłoczona skórą, a na ścianach olejne portrety dziedziców tego domostwa i w późniejszych już czasach zestawiony rodowód ich. Najoryginalniejszym jednak w tych chatach jest pokrycie posowy, zwłaszcza w izbie kuchennej, zaopatrzonej w ogromny komin. Belki i deski pokryte są tu na łokieć szerokimi pasami szarego płótna, na którym niewprawną ręką domorosłego artysty odmalowała grubą warstwą farb sceny Męki Pańskiej lub innych zdarzeń biblijnych. Niepodobna nie uśmiechnąć się, patrząc na tę dziecinną wprost naiwność rysunku i koncepcyi, w której Chrystus ma na sobie surdut pastora, a apostołowie odzienie ludu szwedzkiego — ale niepodobna zarazem nie zapaść w smutne refleksye, widząc, jak żył chłop, prosty chłop szwedzki przed czterystu już laty, a jak żyje dziś... nasz lud.

Z mieszkalnego domu przechodzimy przez obory i gumna, w których — dziś już niedozwolone — mieszczą się aparaty dystylacyjne do pędzenia wódki i zdążamy do obszernej, wybielonej altanki, na sposób mieszczański i nowszy zagospodarowanej. Jestto izba, w której Anglicy lubią „na pamiątkę” ukraść choćby jedną kartę z wyłożonych na stołach ksiąg, izba, w której

Swedenborg żył i pracował, a co ważniejsza, w niej właśnie rozmawiał z aniołami i „wprost od Boga” miał sobie objawiony rozkaz rozumowego wykładu *Fentateuchu* i stworzenia zapowiedzianej w Apokalipsie doskonałszej powszechności duchowej pod nazwą *Nowe Jeruzalem*. Naukowe prace mistyka o żelazie i jego produkcyi, nagrodzone niegdyś przez Akademię paryżką przebrzmiały zupełnie, ale religijne idee i pojęcia, jakkolwiek potajemnie, żyją jeszcze wśród ludu i do dziś dnia w sekcje Swedenborgianów zachowały się nietknięte.

Z niemałym zajęciem przyglądam się nieczytelnym rękopisom i grubym foliałom, nad którymi Słowacki ze swym druhem z „Godziny myśli” niejeden przesłęczeli wieczór, gdy oto towarzysz mój potrąca mnie ramieniem i ukazuje gromadkę dziewczyn i parobków, odzianych pstrokato, którzy z grajkami na czele idą ku drewnianemu podyum, wzniesionemu wśród zielonej łąki.

— Wesele, czy co podobnego? — pytam p. Hajdukiewicza.

— Bynajmniej — odpowiada mój towarzysz — żadne wesele, tylko taneczny popis. Lud wszędzie po wsiach nuci piosenki i przy tych piosenkach tańczy. Pieśni ludowych mają Szwedzi całe setki i tyleż prawie zupełnie oryginalnych i odmiennych tańców. Każda okolica, każda wieś niemal wskutek rozdzielających je przestrzeni, zachowała na tym punkcie swą odrębność. W ostatnich jednak latach przyniosło już licho międzynarodowe banalne walce i polki i wypierając swojskie tańce, zaczęło wypierać i pieśń ludową. Dla zapobieżenia zatracie tych tak ważnych elementów rodzinnej kultury, powstała wśród studentów Upsali myśl zawiązania stowarzyszenia, którego celem byłoby podtrzymanie narodowego tańca i zachęcenie wiejskiego ludu do jego kultywowania.

Powstałe w ten sposób Danshøre zyskały wkrótce popularność, a upsalscy studenci doprowadzili sztukę

Terpsychory do niesłychanej doskonałości, wędrując po kraju w czasie feryi i urządzając wszędzie w oczach ludu taneczne popisy.

Tą samą zupełnie myślą powodowany twórca Nordische Museum, dr. Artur Hazelius złożył baletowy prawie *ensemble* z dziewczyn i parobków wiejskich, zbudował podium w Djurgårdenie i zaczyna zbierać owoce swej działalności; lud bowiem, widząc, że ludzie inteligentni z miasta interesują się i godziny całe przyglądają jego zabawom, zaczyna się nawracać do dawnych zwyczajów, szanując je i chlubiąc się niemi.

Słuchając wywodów „kompatrioty,” przyglądam się tymczasem zwinnym podskokom i wdzięcznym ruchom tancerzy. Skrzypki i bassetla rzepolą, barwne atłasowe gorsety, spódnice czerwone i czarne przyczółka, z pod których zwieszają się długie, w kilka warkoczy zaplecione włosy, migają w słońcu naprzemian z białymi świtkami parobków—hulanka rozpoczyna się na dobre. Czasami zdaje mi się, że słyszę melodyę kołomyjki i widzę jej „pas,” czasami mam wrażenie, jakby nasi zakopiańcy tańczyli „zwertanego,” któremu nie brak podskoków „zbójeckiego” — ale oto stają razem dziewczęta i chłopcy i zaczynają śpiewać. Schiller ułał dzwon i wyśpiewał w czasie robót giserskich wiekopomną pieśń swoją—tu rażna gromadka nucąc opowiada, jak z przędzy robią się nici, jak się nić w warsztat zasnuwa, jak między postaw a przędzę rzuca się tam i z powrotem czółenko i każdy z ustępów swego opowiadania przedstawia obrazowo, zwiijając się i rozwijając w łańcuchy, girlandy, kadrylowe koszyki i „szufladki.” A oto znów zmienia się tempo muzyki i widzimy przed sobą „stylizowaną,” że tak powiem, ciuciubabkę. Po niej kolej na inny znów taniec, po którym następuje nowy i zupełnie odmienny, słowem w krótkim czasie przesuwa się przed oczami widzów cały lud szwedzki ze wszystkimi swemi zabawami.

Ani się człowiek obejrzał, gdy dzwonek donośny dał publiczności znak, że za chwilę rozpocznie się druga część chóralnego koncertu. Stajemy więc pod obleżoną tłumem estradą i słuchamy pieśni Bellmana i Wonnarsberga, który swego czasu pił tego i całe noce śpiewał w szynkach upsalskich, co mu jednak nie przeszkodziło w niczem zostać później ministrem oświaty.

VII.

Nazajutrz, puntualnie o godzinie 3-ej, zjawiamy się, ja i p. Hajdukiewicz, w mieszkaniu, a zarazem sklepie p. Bukowskiego. Gospodarz przeprasza nas, że jego *fröcken* ¹⁾ Emma nie dopieklą jeszcze kurcząt, więc możemy chwilę pogadać.

Wypytuje o Polaków, zamieszkałych w Szwecji. Niewielu ich tu mieszka, a ci, co są tu dłużej, znają się nawzajem i ciągle utrzymują z sobą stosunki. Prócz kilku rodzin rzemieślniczych, mniej znanych, stanowią polską kolonię: Bukowski i Hajdukiewicz w Sztokholmie, Michałowski, osiadły na roli powyżej Upsali, i rodzina Ławskich w Norköping (czytaj Norczöping), żydzi, ale jak wszyscy szwedzcy żydzi, dzielni obywatele, ofiarni na cele humanitarne i dobrzy patrioci. Ławski i Michałowski przybyli tu razem i wywalczyli sobie chleb zrazu handlem domokrażnym, później stałym, a w końcu importowym. Po jakimś czasie spółka się rozwiązała. Ławski, ożeniwszy się w Krakowie, przezorną umiejętnością doprowadził swe przedsiębiorstwo do takiego rozkwitu, że dziś jest właścicielem dwóch największych w Nörköping, zbyt ko-wnie urządzonych kamienic; Michałowski, jak wilk do

¹⁾ *Fröcken* = panna. Nigdyś mówiono tak jedynie szlachetnie urodzonym osobom, dziś używa się tego określenia bez różnicy pochodzenia i powszechnie.

lasu, pociągnął do gospodarki wiejskiej i dzierżawiąc kilka folwarków majoratu Engeströma, będącego w zarządzie Bukowskiego, powiada, że ta płonna na pozór ziemia szwedzka wdzięczną jest i chodząc pilnie koło niej, można z niej z procentem wydobyć wkłady kapitału i pracy. Bukowski, będąc zrazu pomocnikiem w nieistniejącym już dziś handlu starożytności, obeznał się z czasem z przedmiotem do tego stopnia, że dziś od lat dwudziestu kilku prowadzi takż handel na własną rękę—handel nie tylko znany w Sztokholmie i w zażyłych pozostający stosunkach z dworem, ale rozgłosny także po za granicami Szwecji, a zwłaszcza w Rosyi i bogatych jej sferach, rozlubowanych w gromadzeniu historycznych zabytków rosyjskich, które tu wskutek dawnych wojen kryją się po prywatnych domach i rodzinach. O ile jednak wymienieni poprzednio, jakkolwiek nie wynarodowili się, mówią w domu po szwedzku i teoretyczną jedynie miłość zachowawszy dla Polski, uważają Szwecję za swą ojczyznę, to Bukowski jednego dnia nie straci, aby nie pomyślał o kraju rodzinnym i Polakach, ich życiu, ich teraźniejszości i przyszłości i w tym kierunku czynnym jest niezmordowanie. Opiekuje się wszystkimi przybyszami, miejscowym ułatwia, co może—mnie również, choć kilka dni tylko bawiłem, nie szczędząc prawdziwie ojcowskiej opieki i łaskawości. Niepomniernie obfita poczta codziennie łączy go ze wszystkimi trzema dzielnicami, a już prawdziwym okiem w głowie jest dlań kwestya stypendyów imienia Ostrowskiego dla polskiej młodzieży, kształcącej się za granicą.

W fachowym swoim zawodzie dbając zarówno, ażeby najmniejsza pamiątka, odnosząca się do dziejów dawnej Polski, nie przepadła marnie, rok rocznie przesyła do kraju monety, sztychy, obrazy lub starą broń i powiększa niemi muzealne zbiory pod Wawelem... Mając szczęśliwą rękę w wynajdywaniu starych, królewskich porcelan, nad którymi doktor

czterech wdziaków i bardzo utalentowany poeta, król Oskar II-gi, trzęsie się formalnie w swej pasyi zbieracza, pozyskał zaufanie dworu, i dzięki niemu wziętym będąc wśród arystokracji, dorobił się majątku, stanowiska zaszczytnego i powszechnego zaufania, czego dowodem najlepszym złożenie w jego ręce zarządu milionowego majoratu hr. Engeströma i krocio-
wych nieraz kwot na cele dobroczynne.

Podczas gdy sympatyczny gospodarz opowiadał nam pokrótce dzieje swego życia, *fröcken Emma* zastawiła stół, na którym nie brakło czysto narodowych potraw. Przeszliśmy też wkrótce do jadalnego pokoju. Z *menu*, którego opis nie może chyba zająć, wspomnę jedynie o t. z. *smörgåsar*, bez którego Szwed nie rozumie obiadu. Jest to zimna przekąska, zakropiona wódką; składają się na nią przeważnie morskie przysmaki, a więc: anjuvisy, homary, ostrygi, sardynki, kraby i różnego rodzaju sery, z których najbardziej uderza *gammal ost*, czekoladowej barwy i smaku pasztetu, spożywany jedynie w bardzo cienkich płatkach na niemniej cienkim, czarnym, na sposób mac pieczonym *spise bröd*, chlebie, wypiekany po wsiach kilkakrotnie do roku i nawleczonym na drążki, umieszczone pod sufitem, a znanym zarówno żebrakowi, jak i na królewskim stole.

W restauracyach, z wyjątkiem opery, gdzie każdemu przynoszą na osobnej tacy—mieści się *smörgåsar* na środkowym stole, przy którym nigdy drożej, niż za 50 öroir każdy z obiadujących zjada bez kontroli dowolną ilość przysmaków; niema jednak przykładu, aby ktoś nadużył tego zwyczaju i poprzestawszy na *smörgåsar*, nie siadł do właściwego obiadu.

Wbrew przyjętemu tu zwyczajowi, nie wieczorem, ale zaraz po czarnej kawie zasiedliśmy przy ponczu, aby odprawić *pladder*, t. j. pogawędzić swobodnie. Opisywana przez Hamsuna „Pjølter stunde” zachowywana jest ściśle przez wszystkich zarówno w Szwecyi, jak i w Norwegii. Wieczorem mianowicie, po

ukończeniu wszelkich prac, bądź to w domu, bądź też w restauracyach i ogródkach, zasiadają ludzie tutejsi do szklanki słodkiego, zimnego ponczu, albo whisky, rozprawdzonej musującą Vichy, i otwierają sobie nawzajem serca i różowiej patrzą na świat. Wskutek późnych zachodów słońca i noc całą trwającego szarego zmierzchu, przeciągają się te pogawędki do północy i później nawet, i o tej dopiero porze można tu i owdzie zauważyć nieco chwiejny i popłatany chód przechodniów, którymi w dzień — nie wiem, czy i w Sztokholmie — ale w Chrystyanii z pewnością zaopiekowałaby się policya. Wieczór jednak ma swe odmienne nieco prawa i ten i ów zaprosza sobie potrosze głowę. Nie przechodzi to jednak w nałóg. Senność zapędza w końcu wszystkich do łóżka i każdy nazajutrz budzi się do zwykłych zajęć.

Nasza „Pjølterstunde” przeciągnęła się do wieczora, a z 10zmów moich interlokutorów, z pogawędki z Ławskimi i Michałowskim, którego podczas mojej wycieczki do Norköping u nich zastałem, z przelotnych znajomości podróżnych, pomiędzy innemi z trzema dziennikarzami z Helsingforsu i gazet tutejszych, zestawilem sobie dorywczych kilka uwag o Szwecyi i Szwedach.

Na czele państwa stoi uczony i poetycko utalentowany król Oskar, otaczający się chętnie niedobitkami rodowej arystokracji, która zeszyła pozornie do roli zaufanych faworytów królewskich, związana jednak solidarnie w wyższą Izbę *Rikstagu*, ważne zajmuje w ustroju państwa stanowisko. Do niedawna uważana była przez szerokie, zupełnie zdemokratyzowane warstwy za dokuczliwy hamulec w rozwoju społecznym i politycznym i razem ze swym organem *Aftonbladet* serdecznie znienawidzoną. Gdy atoli w zatargu z Norwegią i walce z radykalną partją *Stortingu* najsilniejszy i najwytrwalszy, choć daremny opór stawiała właśnie wyższa Izba *Rikstagu*, ucichły cokolwiek sarka-

nia, jakkolwiek nie zmieniła się konfiguracja stronnictw i mimo wybitnego stanowiska Izby panów, rząd właściwy spoczywa w ręku demokracji. Tradycja jednak silniejszą jest, niż wszystkie zasady, powzięte *à priori* i nawet w czyn zamienione, i w każdej dziedzinie społecznego życia czuć tu pewną skłonność do wytwarzania różnic klasowych i oglądania się, co na to lub tamto powiedzą na wyższym szczeblu hierarchii społecznej. Słowem, czuć tu przeżytki feodalnego ustroju średnich wieków, od których ze wszystkich państw europejskich jedynie Norwegia jest wolną i które sprawiają, że w porównaniu z Norwegiem i w ustach jego, jest Szwed „obrzydliwym arystokratą i reakcyonistą.” Tem też tłumaczy się wielkie przywiązanie narodu do tronu i króla, któremu dwóch tylko rzeczy nie mogą darować, a mianowicie, że rozwydrzył Norwegów i za słaby jest dla najmłodszego syna Eugeniusza, wielkiego — ale we własnym tylko mniemaniu — artysty-malarza.

Mimo takiego sądu Norwegów, jest jednak Sawecya w porównaniu z innymi państwami Europy, krajem nawskroś chłopskim. Chłop jest tu obywatelem wiejskim, chłop tworzy w miastach klasę inteligencji i nie kto inny, tylko chłop, jest w nich kupcem i przemysłowcem. W jego też ręku spoczywa bogactwo narodu. Oszczędny i przezorny, uprawia zwykle rozległe obszary i mimo wystawnego częstokroć życia, które mu pozwala na przebywanie w wielkopańskich poproście, z niezmiernym przepychem urządzonej rezydencji, uważa się za chłopą i szczyci się, że nim jest. Do ziemi bardzo przywiązany, ceni w niej włożoną swą pracę i kiedy w *Riksstayu* postawiono niedawno wniosek zniesienia majoratowych latyfundiów — wniosek, za pomocą którego haniebnie zadłużona arystokracja chciała polepszyć swe finanse i pozbyć się wielkich podatków, opłat spadkowych i kosztów administracji — nie kto inny, jeno chłop szwedzki oparł się temu, rozumując: „Ja pracą swoją dosze-

dłem do kawałka ziemi, a magnaci urodzeniem. Gdy który z nich wystawi na sprzedaż kilka mil kwadratowych swego majątku, muszą ceny ziemi upaść, a więc i moja straci na wartości. Dlatego kładę *вето*.” Wskutek takiej argumentacji wniosek przepadł i odtąd dzieją się tu z majoratami różne historie.

I tak, opowiadano mi, że trzeciego w państwie co do wielkości majoratu nie chce żaden ze spadkobierców przyjąć i że nie jest to odosobniony wypadek, jeno w ostatnich czasach rzecz wcale częsta. Przyjęcie bowiem majoratu pociąga za sobą natychmiast spadkowy wydatek stu tysięcy koron, a na to już zaciągnięte ciężary hipoteczne i administracyjne. Ordynatom bowiem wolno — według konstytucji szwedzkiej — obdłużyć tabulę za osobistym pozwoleniem króla i ten właśnie proceder służy im do obejścia przepisów ordynacji. Gdy bowiem doprowadzą swe majątki do absolutnej niewypłacalności, albo gdy już nie wiele do niej brak, rząd, jako taki, wdaje się w całą sprawę i wystawia je na subhastę, na której nabywa je zazwyczaj dotychczasowy właściciel, lecz już nie jako majorat, jeno zwyczajne dobra ziemskie. Nawet w wypadkach, gdy majorat przedstawia jeszcze piękną fortunę, wiekowi bardzo spadkobiercy ociągają się z ich przyjęciem, wiedząc, że po ich blizkiej śmierci młodsze potomstwo, obejmujące je, raz tylko 100,000 koron zapłaci.

Niedawno zdarzyło się, że czterech z rzędu ordynatów-starców, na których kolejno majątek przechodził, w jednym roku zmarło i rodzina zaoszczędziła w ten sposób blisko pół miliona koron. A ostatecznie i wielcy właściciele ziemscy w Szwecyi muszą mieszkali ścisnąć. Robotnik polny drogi tu bardzo, maszyna niezupełnie jeszcze rozpowszechniona, a gleba niezbyt wydajna. Nadto większe majątki, to przeważnie lesiste obszary, których, na szczęście, ustawa trzebić zabrania. — Mówię: na szczęście — bo brzoza i świerk są tu milczącymi parobkami natury, która pomocy ich

wieki jeszcze całe będzie potrzebowała, żeby ogromne przestrzenie skał rozkruszyć, mchem, oraz próchnicą pokryć i stworzyć warstwę jako tako urodzajnej ziemi. Tym też tylko względem tłómaczą się utyskiwania na brak lasów w Szwecyi i namiętne nawoływania do ich ochrony. Dotychczas bowiem jest go tu aż za wiele — ale nie można go ruszać, bo gdzie go raz wytną, tam już nikt i niczem nie użyźni nagich postaci skalnych, których wtedy, jak to sam wśród szeregów widziałem, najlichszy porost więcej się już nie czepi.

Powyższe uwagi odnoszą się do centralnych i północnych okręgów królestwa. Prowincye południowe mają poddostatkiem uprawnej roli i nieliczną ludność kraju mogą niezgorzej wyżywić. W tym tylko roku ludzie troskają się o chleb wskutek przewlekłej wiosennej suszy, którą i ja dotkliwie odczułem.

Obok rolnictwa w nierównie szybszem tempie rozwija się tu i przemysł fabryczny, jakkolwiek hamowany brakiem węgla krajowego. Pomówimy o nim nieco w dalszym ciągu.

VIII.

Säkerhets tändstikker — *Sicherheits Zünder*, oto jedyny wszędzie znany produkt przemysłu szwedzkiego, który w stosunkowo krótkim czasie wyniszczył starodrzew szwedzkich lasów. Sfery wielkiego jednakże przemysłu europejskiego znają równie dobrze o wiele ważniejszy produkt krajowy, a jest nim ruda żelazna i jej przetwory, z pośród których najbardziej zastąpiła stal. O rozwój tej gałęzi przemysłu dbano tu od dawien dawna. Wspomniałem już poprzednio o pracach naukowych Swedaeborga, którego Korona zamianowała w połowie zeszłego wieku generalnym komisarzem do spraw kopalnianych i hutniczych. On to głównie zreformował żelazne górnictwo Szwecyi, kładąc tamę rabunkowej gospodarce i wprowadzając w jej miejsce systematyczną eksploatację nieprzebranych zda się pokładów. Głównem ich siedliskiem jest pasmo niezbyt wysokich wzgórz, które przebiegać przez prowincye Wermland, Dalarne i Westmanland, wyżynnym grzbietom rozdzielają Wenern i Wetter i kończą się w Smalandzie górą Taberg, złożoną wyłącznie z 30-procentowej rudy żelaznej. Nie Taberg jednakże, ani rozrzucone we wspomnianem paśmie pokłady stanowią tu o produkcji żelaza, jeno blisko granicy norweskiej pod 67° 10' półn. szerokości wznoszący się Gellivare, którego łomy zawierają 75% czystego metalu. Tu też znajdują się najstar-

sze kopalnie Szwecyi, bo blisko dziewięćset lat istnienia liczące. Z dziejów ich okazuje się, że niestudnie szczytają się inne kraje Europy wynalezieniem akcyjnych przedsiębiorstw. Kopalnie Gellivaru eksploatowano już w XIII wieku składkowemi kapitałami, a akcje ich we właściwym pojęciu tego wyrazu jako uruchomienie nieruchomego kapitału, równoznaczne z pieniądzem i puszczone w kurs z końca XIV wieku (!) przechowały się jeszcze do dziś w rękach okolicznej ludności.

Oprócz wymienionych i różnych innych jeszcze kopalni żelaza, posiada Szwecya nie mniej stare i wydajne kopalnie miedzi pod miastem Talun, która w Norköping ładuje się na statki i razem z nierównie liczniejszymi ładunkami rud żelaznych odchodzi do Anglii. Szwecya bowiem nie jest w stanie przerobić wszystkiego surogatu u siebie w domu wskutek braku węgla. Ma wprawdzie pokłady tej cennej kopaliny w dystrykcie Schonen, na wschód od Helsingborg i na wyspie Ando w zatoce Botnickiej — zapas ich jednakże wystarcza zaledwo do przetopienia rudy na użytek własny, a i to tylko we „fryszerkach”, a nie bessemerniach, dla których to ostatnich potrzeba lepszego, od popiołu i domieszek siarki wolniejszego paliwa, sprowadzanego z Anglii lub rzadziej z Niemiec.

Wskutek niechęci fabrykantów do krajowego węgla, obraca go rząd na użytek własny i pędzi nim wszystkie swe koleje żelazne, a każdy turysta, wdychając niezwykle duszący dym lokomotyw, ma dostateczne pojęcie o zanieczyszczeniu szwedzkiego węgla i małej jego wartości dla przemysłu, zwłaszcza hutniczego. Dopóki lasy zdawały się niewyczerpane, radzono sobie jeszcze tn i owdzie opałem lub węglem drzewnym; od czasu jednak, gdy na ogrzewanie mieszkań w zimie musiano się uciec do buczyny i brzeziny finlandzkiej, względnie drogiej, i wskutek morskiego frachtu niepewnej w terminach dostaw, obejrzano się

za nowem źródłem siły motorycznej i spożytkowano naturalny spadek rzecznych wód. Na ogół jednak biorąc, wskutek względnie łagodnego, niejako terasowego opadania szwedzkiego ładu od zachodu na wschód, nie posiada Szwecya nadmiaru takich spadków naturalnych, zwłaszcza, że większość ich kryje się w mało dostępnych, bo nieprzeciętych kolejami dolinach górskich i dlatego w kilku zaledwo miejscowościach zaprzęgnięto szumiące katarakty do obracania kół fabrycznych, a prym pod tym względem wiedzie *Trollhättan*, „Kapelusz czarownicy”, miasto na trakcie kolejowym Sztokholm-Malmö, które objeżdżając Wernern, zwiedziłem po drodze do Chrystyanii.

Tak rozproszone osady fabryczne trudnią się przeróbką odpadków drzewnych na masę papierową, celluloid i zapalki, szmat i wełny na przędzę i tkaniny, żelaza na maszyny dla drobniejszego przemysłu i gospodarstwa rolnego, na wagony kolejowe i składowe części parowców. Również woda obraca tu ogromne młyny zbożowe i szlifiernie kamienia. Prócz tego rodzaju fabryk, nie brak tu także pędzonych węglem, a więc: hut żelaznych i szklanych, rafinerii nafty, zwanej tu *gas*, a sprowadzanej z Kaukazu przez Wołgę i Ładogę na cysternowych statkach braci Nobel i różnego rodzaju środków wybuchowych, których klasyczną ziemią jest Szwecya. Rzecz prosta jednak, że wszystkie te fabryki nie pokrywają potrzeb kraju i że import zagranicznych wyrobów, opłacanych drogo naturalnemi płodami, jest bardzo znaczny.

Dla zapobieżenia takiemu ubożeniu ekonomicznej siły kraju, rzucano się w ostatnim dziesięcioleciu gwałtownie do przemysłu fabrycznego, tak, że w przeciągu trzech lat (1896 — 1899) ilość fabryk podwoiła się. Okoliczność ta pociągnęła za sobą olbrzymie zapotrzebowanie kapitału. Doszło do tego, że banki rządowe, biorąc $6\frac{1}{2}\%$ (!) od pożyczek, nie mogą nastarczyć z kapitałem i są na razie prawie wyczerpane, a ekonomiści przewidują w niedalekiej przyszłości

ogólne bankructwo, albo przynajmniej bardzo ciężki kryzys. Ile możności też chroni rząd przemysł krajowy od importu i wobec licznych, choć nieuzasadnionych głosów, że Norwegia prowadzi względem Szwecyi nieuczciwą politykę handlową, wprowadzając do niej towar niemiecki i angielski, rzekomo u siebie wyrabiany, a więc wolny od cła, odcieła się od Norwegii nawet celnemi komorami i wygrzebała w ten sposób głębszą jeszcze przepaść między złączonemi unią królestwami, którą dziś po dwóch zaledwo latach Szwedzi napróżno chcą zatrzeć i usunąć. Norwegowie wiedząc, że bodaj najsilniejszą spójnią narodów jest ich wzajemny interes materyalny, a chcąc dziś za wszelką cenę zerwać unię, wzbraniają się cofnięcia odnośnych ustaw i stanowczo ich nie cofną.

Oprócz przemysłu fabrycznego istnieje tu szeroko rozpowszechniony przemysł domowy. W pierwszym rzędzie należą tu ukryte po lasach dziegciarnie, smolarnie i osady zbieraczy terpentyny, słynnej ze swej czystości i dobroci.

Już nieco więcej przyczynienia się ludzkiej ręki wymaga wyprawa skór niedźwiedzi, lisich i wilczych i przeróbka ich na futra, czapki, pasy i wyszywki ludowych strojów. Nierównie więcej ludzi zatrudnia jednak morze i cały przemysł morski. Połów, suszenie i przyprawa ryb, krabów i raków jest całoroczną pracą ludności nadbrzeżnej. Głęb jednak ładu, właściwa wieś szwedzka, trawi wolne od orki i zbiorów chwile na wykonywaniu najróżnorodniejszych przedmiotów codziennego użytku. Najważniejszym tu działem przemysłu: sprzęty pokojowe i kuchenne, odzienie, hafty, koronki, koszyki i rzeźba drewna. Są więc całe wsie, w których wyrabiają drewniane kufry, podobne nieco do naszych chłopskich skrzyń i zasieków, tylko mniej jaskrawo malowane i nierzadko rzeźbione. Są inne znów osady, gdzie wyrabiają same tylko stoły i krzesła, a inne jeszcze, w których bednarstwo doszło do pięknego rozkwitu,

dostarczając cebrażyków, mis, czerpaków i niecek, pokrytych wypalanemi ornamentami lub polichromią. Najoryginalniejszym z tych przedmiotów jest rodzaj wielkiego puharu, z którego cała rodzina mniejszemi kubkami czerpie mleko, piwo lub poncz, kształtu bardzo pękatej łodzi rybackiej, z tyłu i z przodu ozdobionej dziobami, pełniącemi służbę ucha.

Daleko atoli większa różnaitość zauważyć się daje wśród wszelkich przedmiotów, dotyczących odzienia i nietylko różnaitość, lecz zbytek. Różnego rodzaju namitki, czepeczki, gorsety, spódnice, chodaki, płaszcze i chusty, w każdej okolicy odmienne wychodzą z pod rąk jasnowłosych, wesołych i dzielnych dziewczyn.

Ciekawem jest, że podobnie jak w Szwajcaryi, wytworzył się tu specjalny dział przemysłu, domowe zegarmistrzowstwo, które dostarcza całemu krajowi niezbędnych w życiu szwedzkiego chłopca czasomierzów, nie wybrednych wprawdzie, ale mocnych i dość dokładnych.

Najwyżej jednak ze wszystkich wyrobów ręcznego przemysłu stanęło jubilerstwo w mosiądzu i bronzie, które dostarczyło wzorów złotnikom sztokholmskim do różnych filigranowych gracików, brosz i szpilek, nie ustępujących w niczem starym weneckim robotom.

Z kilku tych luźnych uwag łatwo wysnuć wniosek, że w kraju tak pracowitym a oszczędnym, musi zakwitać dobrobyt. I tak też istotnie jest. Przez sześć tygodni pobytu mego w Szwecyi i Norwegii jednego tylko spotkałem żebraka w Sztokholmie i jedną ociemniałą w Molde—zresztą nigdzie nie zobaczysz tu obdartusów i włóczęgów, oraz naszych surdutowych, wyzółkłych postaci, snujących się po świecie bez dachu i strawy. Wszyscy tu pracują, od małego dziecka do starca.

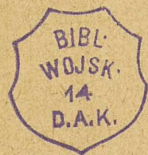
W życiu zaś dają sobie doskonale radę, dzięki szkole wybornej.

Kiedy Komensky ogłosił światu swe spostrzeżenia i uwagi nad wychowaniem młodzieży, pierwszy rząd szwedzki wezwał uczzonego czeskiego do Sztokholmu i dając mu do pomocy miejscowych pedagogów, stworzył wzorową szkołę ludową, jakiej i Szwajcarya do dziś dnia jeszcze niema. Nie też dziwnego, że w całej Szwecyi i w całej Norwegii niema ani jednego człowieka, który nie umiałby czytać i pisać. Kiedy w rozmowie z Thissem i Viegelandem w Tronthjem powiedziałem im, że pochodzę z kraju, gdzie do niedawna żyło 72 procenty analfabetów, załamali ręce z pożałowania i zdumienia. Szkoła też, a nie kto inny, sprawiła, że na każdym kroku spotyka się tu człowiek z uprzejmością, nie jakąś uniżoną (chłopka, mówiąc do królowej, bierze ją najspokojniej za ramię, a pocałunek w rękę nieznany tu jest nietylko dzieciom w stosunku do rodziców, ale narzeczonego względem pani serca) — ale przyjazną i dobroduszną. Gdy się nadto zważy, że 150 koron ¹⁾ miesięcznie wystarcza tu na utrzymanie rodziny, złożonej z pięciu osób, bony i służącej — łatwo pojąć, że niejedyn, co choć zrazu na krótko zamieszkał tu, nie chce więcej tej ziemi porzucać i wnet uważa ją za swą ojczyznę.

Na moją kieszeń atoli zaczyna Sztokholm oddziaływać nazbyt opróżniająco i trzeba mi z niego umykać dalej. Mam wprawdzie jeszcze w planie odwiedzić p. Wester w Waxholmie, ale wycieczka ta zatrzymałaby mnie tu jeszcze całych 24 godziny, narażając zaś, jakie raz wraz odbywam z planami jazdy *Bergenske & Nordenfjeldske Dampskibsselskab* zalecają mi pośpiech. Jeżeli bowiem nie zdążę do Tronthjem na 28 czerwca i zapóźnię „Tordenskjöld”, na pokładzie którego mam popłynąć na południe przez różne fiordy, w takim razie przyszyłoby mi albo kupować

¹⁾ Około 100 złr.

bilet jazdy innym statkiem, albo siedzieć w Tronthjem cały tydzień i czekać do 5 lipca. Ponieważ zaś przy obudwu ewentalnościach nie stałaby skórka za wyprawę i ponieważ nadto mam przed sobą do zwiedzenia służy Göteborgskiego kanału i Chrystyanię — w której nie wiem, jak długo zabawię — przeto postanawiam, nie zwlekając, ruszyć w dalszą drogę zaraz następnego dnia. Wizytę w Waxholmie mogę z tem czystszym sumieniem opuścić, że p. Ellen Wester była niedawno osobiście w Warszawie i Krakowie i tu się z nami poznała bliżej, a my z nią. Notatki zaś jej podróżne, publikowane w jednym z dzienników sztokholmskich, nie zawierają w sobie nic nadmiernie ciekawego, to chyba, że jedna z ważniejszych jej obserwacji o Warszawie zawiera spostrzeżenie, że wszystkie prawie konie mają... otarte bok!



IX.

O kolejach szwedzkich, a jeszcze bardziej norweskich, można wogóle powiedzieć, że chodzą. Nawet punktualnie—ale tylko z pierwszej i końcowej stacji; ściśle zachowanie czasów na stacjach pośrednich jest tak dobrze, jak niemożliwe dla niezmiernego liberalizmu zarządów kolejowych względem publiczności. Nikt tu jej nie wodzi za nos, konduktorzy nie są niańkami, na peron wchodzi, kto chce, w wagonach każdy siada, gdzie chce, w najszybszym pędzie galeryjki i pomosty pomiędzy wagonami wypełnione stojącymi, a przed przyściem pociągu relsy zawalone tłumem. Dla ludzi choć trochę nerwowych wjazd pociągu na stację, zwłaszcza w niedzielę, gdy dworce obleżone są przez okoliczną ludność, jest widokiem wysoce rozdrażniającym.

Niepodobna uniknąć wstrząsających emocyj, widząc, że już—już znajdzie się ktoś pod kołami. Ale właśnie przez takie swobodne obycie się z przedmiotem nie było podobno nigdy żadnego wypadku i jedną ujemną stroną tego *modus vivendi* jest kilkuminutowe opóźnienie, które potem nieznacznie dymiąca lokomotywa między stacyami nadrabia. Odbiera się też ogólne wrażenie, że pociągi tu prędko chodzą. Wewnętrzne ich urządzenie przewyższa pod względem wygód koleje niemieckie. Klasa II wygodniejsza tu niż gdzie indziej pierwsza, a trzecia zaopatrzona w poduszki,

maty, wodę do picia i toalety. Większa też część ludzi używa tu wyłącznie trzeciej klasy, której ceny są śmiesznie tanie.

Ze Sztokholmu wyruszyliśmy około godziny 7-ej rano kuryerem, łączącym stolicę z Malmö, a więc z Kopenhagą, a przez nią z resztą Europy. Szlak to zimą i latem bardzo ożywiony, nie tylko dzięki pasażerom, ale żyzności i gęstemu zaludnieniu tej części kraju. Jest to historyczna Gotlandya, stanowiąca niegdyś oddzielne państwo. Ślad jej odrębności pozostał w tytule króla szwedzkiego, który między innymi mianuje się królem Gotlandyi, jak również i w tem, że każdy następca tronu jest wielkim jej księciem. Rozciąga się ona na południe od wielkich jezior wewnętrznych, a na północy wciska między nie długim językiem aż do miasta Töreboda. Ta jej część jest górzystą i z okien wagonu przedstawia się bardzo malowniczo. Minawszy zaraz z początku kilka tunelów pod Södermalmem, pociąg przewija się ustawicznie wśród lasów, polanek i gęsto bardzo rozsypanych wód, bądź to morskich, które zagłębieniami na kilka mil wciskają się w ląd, bądź też słodkich, powstałych ze źródeł i strumieni.

Te wody rozliczne, pod wieczór zwłaszcza, bez jednej zmarszczki, błękitne, albo zorzą zachodnią żółtawione, nieporównanych pełne są uroków. Najmniejszy listek nadbrzeżnych lasów odbija się w nich w nieskazitelnie czystych konturach, *das feucht verklärte Blau* łagodzi kanciastość potarganych skał, cisza i pustka zupełna zmienia je w jakieś błękitne, czarowne zadumanie natury, w jakiś sen jej niezamącony na kwiatach i lazurach. Z prawdziwą zazdrością patrzy się na sunące po nich łodzie żaglowe, podobne do obłąkanych motyli białych na jeziorach tatrzańskich. Nam jednak myślą tylko wolno po nich bujać—lokomotywa unosi nas wciąż dalej i dalej. A oto horyzont nagle się zacieśnia i wprost przed nami widne zbocza leśne dość wyniosłej góry. To Kinnekul-

le (wymawiaj Czinnekülle), trzymająca straż nad całym jeziorem Weneru, jedna z najciekawszych gór Szwecyi.

Gdyby geolog chciał mieć w swoim gabinecie mineralogicznym model porządkowego kształtowania się i układu warstw z różnych epok stygnięcia ziemi i tworzenia się jej skorupy, nie potrzebowałby go sztucznie stwarzać, bo w Kinnekulle znalazłby wzór dla niego gotowym. Cała góra składa się z oddzielnych pokładów, ściśle od siebie odgraniczonych. Podstawę stanowi granit, na którym kolejno piętrzą się: piaskowiec, łupki ałunowe, wapień, łupki łkowe, a wreszcie różne zlepieńce, pozałamywane w szereg stopni, zwanych *klevvor*. Trzon góry przecina mnóstwo dolin z niezmiernie bujną i urozmaiconą roślinnością i na punkcie flory stanowi Kinnekylle odrębny zupełnie świat. Pociąg przewija się u stóp jej wśród osad wiejskich lub pańskich rezydencji, z których najznacniejszą jest Råcäek z cudownie utrzymanymi parkami i pałacami. Po przeciwnej zaś stronie pociągu raz wraz między gałęziami drzew błyskają ogromne zatopy Weneru.

Wkrótce pociąg dojeżdża do Lidköping, i tu mi przychodzi nocować. Korzystam z północy, szarego dnia i w łódce rybackiej wypływam na jezioro. W niecałe pół godziny od lądu fala coraz częściej moczy mi odzienie i trzewiki, i pomimo zapewnień wioślarza, że „chyba” nie będzie burzy, wracać mu każe do miasta. Jego „chyba” i cały spokój Naturmenscha nie mógł mnie skłonić do dalszej wędrowki. Fale Weneru są co najmniej tak wielkie, jak bałwany Bałtyku, a zdradliwość jeziora przysłowiową. Można za najcudowniejszej pogody ruszyć w drogę i zupełnie nagle i niespodziewanie paść ofiarą rozwścieczonego żywiołu. Nigdzie na świecie nie zrywają się burze tak nagle, jak na Wenerze, i na żadnym jeziorze lądowem niema tylu katastrof, w których setki ludzi ginie, co tu.

To też zupełnie śmiało wędrują po jeziorze jedynie parowce, a mniejsze barki albo zwykłe łodzie trzymają się przeważnie trawiastych lub lesistych brzegów, kędy trzepocze się niezliczone mnóstwo wodnego ptactwa.

Nazajutrz, włócząc się po małej mieścinie, w hotelu i kawiarni miałem sposobność przekonać się, że cały „światowy język” niemiecki jest, jak warszawiacy mówią: „do chrzanu” i że z równym prawem możemy swój ojczysty tak szumnie nazywać. Gdy bowiem po niemiecku nigdzie mnie nie rozumiano, zacząłem najspokojniej mówić po polsku i przy gości-kulacyi lepiej się nim posłużyłem, niż „weltsprachą” naszych najserdeczniejszych, wplatając zwłaszcza tu i owdzie wyrazy szwedzkie, których pewien zapas musiałem sobie przyswoić. O ile bowiem nad morzem rozumieją, prawie wszędzie po niemiecku i angielsku, o tyle w głębi lądu słychać wyłącznie „svenska.” Alboż ci szczęśliwcy potrzebują dostosowywać się do swoich wycieczców! Siedzą morzem odejści, „jak u Pana Boga za piecem,” i rozwijają się swobodnie i nieskrępowanie.

W dwie godziny po wyjeździe z Lindköping minęliśmy Wenersborg, kędy Götaelf, upływ Weneru, przeciska się jednym pasemkiem wód przez skalne progi i tworzy niewielki wodospad. Właściwy jednak upływ płynie jeszcze kilka kilometrów ku południowi na tym samym poziomie, na którym leży jezioro, i dopiero w Trollhättan przewala się przez szereg progów ogólnej wysokości 33 metry. Chcąc je obejrzeć, należało mi w Öxnered przesiąść na pociąg, zdążający z Chrystyanii do Göteborga i zniżyć się nieco na południe. Wkrótce też znalazłem się w niewielkiej mieścinie, o szerokich dla uniknięcia pożaru ulicach i okrągłych brukach, których „kocie łby” mogą najzdrowszym stopom dać się wnet we znaki.

Wspomniałem już poprzednio, że Trollhättan jest najważniejszą placówką fabrycznego przemysłu w Szwecji.

cyi. Ruskin jednak nie miałby tu powodu uskarżać się tak, jak się użalał na Manchesterem. Powietrze niezatrute kopciem, jedynym motorem tu woda. Kilkaset kroków za miastem, na skałach granitowych zbudowano cały szereg fabryk. Stoją one na żywej skale, z ciosów wzniesione, obręczami żelaznymi umocnione, do połowy swej wysokości płókanie ciągle wodą. Prawdziwie—patrzac, jak prąd wodny ciągle je liże swoim miękkim, ale niezmordowanym językiem — trudno pojąć, że przy takim wód naparciu mogą się nieuszkodzone ostać. Potężny żywioł, w karby skał ujęty, buntuje się naturze i człowiekowi i wysila się, aby w całym przepychu pokazać im swoje nieokiełznanie. Obracane przez niego koła i turbiny zużytkowują odrobinę tylko, brzeżny pas wód, a i tak ogólna siła ustawionych tu motorów wynosi 270,000 koni.

O spożytkowaniu pędu wód, przewalających się środkiem łożyska, najśmielszy chyba inżynier nie marzy i ujęcie ich jest absolutnem niepodobieństwem. Rzeka, wielkości Łaby pod Dreznem, płynąc w górze zupełnie cicho i spokojnie, nagle bez żadnych przejść, ześlizguje się łyskliwa jeszcze i miękka, jak szklany bisior, przez ukryty próg i przesunawszy się przez niego, zamienia odrazu w zielonawo-białą pianę, rozdartą wpośrodku skalną wantą Gullö na dwa pasma. Żelazny mostek, kołyszący się, jak czerwona gałązka dzikiego wina, wprowadza nas na tę wysepkę. Zewsząd nic nie widać, krom jakiegoś białego chaosu, nad którym ciągle tęcza wisi. U stóp skały prawy Toppöfall i lewy Tiuffall ¹⁾ łączą się razem pod dość rozwartym kątem i w miejscu zetknięcia mocują nawzajem w potężnych zapasach, tworząc kilka metrów wysoki grzbiet wodny, przez który raz jeden, raz drugi przerzucają się rozperlona kaskada. Prosto piekło wodne. Natura oszalała i zwalcza samą siebie

¹⁾ Główny spad i Złodziejski spad.

w nieustannem borykaniu się wściekłego elementu. Człowiek zaś podsycił jeszcze to szaleństwo. W miejscu, gdzie piany najstraszniej się kłębią, spada na nie z góry olbrzymi strumień, puszczonego z akwaduktów sąsiedniej fabryki i do chaosu swój chaos dodaje. Leżąc na skale nie dalej niż pięć metrów od huczącego wrzasku, ma się uczucie, że granit drży i lada chwila roztrzaska się w kawałki. Jest to jednak złudzenie, szarpiące tylko nerwy. Nie granit się bowiem trzęsie, jeno fale powietrzne wprawiają w drżenie ciało turysty i można bez obawy zapatrzeć się w wir i, jak Horpina, widzieć światy inne. Nie wszędzie jednakże i nie zawsze takie porohy są niewzruszone. W roku 1702 na wodospadzie Sarpfos, niedaleko Fredrikshald w Norwegii, wody katarakty odłamały 600 metrów długą i 400 metrów szeroką skałę i razem z zabudowaniami, ludźmi i bydłem zmiażdżyły w druzgi. Przykład ten jednak nie odstraszył ludzi od osiedlania się na granitach Sarpfosa i dziś fabryczna osada Sarpsborg konkurować zaczyna z Trelhättan, podobnaż w przemyśle norweskim odgrywając rolę, jak tamta w szwedzkim.

Oprócz Toppöfall i Tjuffall tworzy Götäelf kilka jeszcze mniejszych katarakt, spiętych u góry 200 metrów długim, z żelaznych koronek utkanym mostem Oskara II, z kąd roztacza się widok na wszystkie spadki Trollhättan. Zanim się wkroczy na most, mija się w skale kutą służę konceptu inżyniera Polhem z roku 1755. Anglicy godzinami całemi przyglądają się przeprawie statków różnego rodzaju przez nowożytnie służę Göteborgskiego kanału, a na te zarzucone żłoby kamienne zeszlowiecznego geometry nie zwracają prawie uwagi. Prawda, że pod względem praktyczności nie mogą się one mierzyć z dziełem dzisiejszej techniki, ale zato jest w nich coś z pomysłów Buonarrotich, jest coś z niecofającego się przed niczem geniuszu ludzkiego. Polhem mianowicie wpadł na myśl

spożytkowania naturalnej skały i użycia jej na ściany komór, które woda Götaelfu musiałaby przepływać — komór, zamykanych u góry i u dołu zasuwami i wymagających tej samej obsługi, jaką dziś stosują przy nowych śluzach Nils Ericsona. Urządzenie zaś tych ostatnich polega na całym systemie nad sobą i obok siebie w jednej linii ustawionych basenów betonowych, z których najniższy leży na poziomie rzeki poniżej katarakt, a najniższy stanowi miniaturową zatoczkę tej samej rzeki w górnym jej biegu. Statek, idący z Göteborga do Norköping i Sztokholmu, wpływa w ów najniższy pierwszy basen i zamyka za sobą żelazne drzwi. Odcięty w ten sposób od rzeki, czeka, aż po otwarciu wrót górnej, nad nim położonej komory woda tej ostatniej przetoczy się do pierwszego basenu i napełniając go, podniesie statek do poziomu wody górnego basenu. Gdy się to stanie — trwa to blisko godzinę, bo śluz nagle otwierać nie można — wciągają statek do drugiego basenu i znów zamykają za nim żelazne wrota.

W ten sposób oddzielony już od pierwszego basenu i dźwignięty do wysokości piętra, czeka aż wody basenu trzeciego przetoczą się do drugiego i podnosząc go razem z poziomem wody, umożliwią przechowanie go do komory trzeciej, potem czwartej, a wreszcie dziewiątej i ostatniej, w której są wody Götaelfu powyżej katarakt. Statki, dążące z Norköping do Göteborgu, przechodzą dosłownie ten sam proceder, tylko w odwrotnym kierunku i porządku, trawiając na tej przeprawie około 10 godzin. Dzięki tym śluzom, zbudowanym między 1836 a 1844 rokiem, istnieje tu w głębi lądu typowa morska komunikacja i chociaż się jest na to przygotowanym, to przecież niepodobna się oprzeć pewnemu zdumieniu, widząc wśród świerkowego lasu obwieszone żaglami i linami maszty statku, albo komin parowca na szczycie pagórkowatej łązki zielonej. Zwłaszcza, jeżeli patrzy się z boku tak, że śluz nie widać, a jeno sam statek,

wtedy kontrast jest tak silny, że wybaczają się różnym *missom* na różne tony wykrzykiwane *beautiful!*

Przyjrawszy się holowaniom przez śluzy jednego z 6.000, czy 7.000 statków, które w ciągu roku drogę tę odbywają, wrócimy do miasta, a ztąd na dworzec. Pociąg zabrał nas całą gromadkę i powiózł szybko ku północy. Nad ranem mineliśmy Fredrikshald z największymi na półwyspie składami drzewa i dokami — wszystko na wodach fiordu, pierwszego fiordu, którego w drodze mej widziałem. Kolej objężdża go prawie całego wkrąg i ogromnemi sadząc łukami, raz otwierając szerokie perspektywy na morze, to znów, jak szary zaskroniec, prześlizgując się wśród lasów, wpada nagle w kotłinę, wypełnioną morzem i toczy się po kamiennej szkarpie. Wdali widać domy wielkiego miasta, kominy fabryczne i wieże — jeszcze kilka szarpnięć na krzyżownicach kolejowego parku, i oto pociąg staje, otwierają drzwi wszystkich wagonów, bybud ¹⁾ chwytają kuferki i po chwili giniemy wśród ulic Chrystyanii.

¹⁾ Tragarz.

X.

Początek dzisiejszej Chrystyanii sięga odległych czasów, bo roku 1050, a zawiazkiem jej była mała osada Oslo, założona na prawym brzegu rzeki Akerself przez Haralda Haardraade¹⁾. Różne przechodziła koleje. Wznosiła się i upadała, wstępowała i występowała ze związku Hansy, zabudowywała się i niszczona była doszczętnie przez ogień: w roku 1547 przez samychże mieszkańców, którzy nie chcieli jej oddać w ręce oblegających ją Szwedów, w roku 1624 przez przypadkowy pożar, który ani jednego domostwa nie oszczędził. Rok ostatniej tej klęski był atoli zarazem rokiem zupełnego odrodzenia się.

Duński Chrystyan IV-ty położył własnoręcznie kamień węgielny pod nowe miasto, udzielając mu nazwy od swego imienia. Rozwój jego był powolny, ale stały. Jeszcze w połowie naszego wieku wynosiła liczba mieszkańców zaledwie trzydzieści dwa tysiące, gdy jednak w miarę potrzeb kraju, cały prawie handel importowy, a po części i wywozowy dla dogodności położenia i świetnego portu zaczął się w Chrystyanii koncentrować, zaczęła się ludność coraz bardziej mnożyć i doszła dziś do 200,000. Nadto przymusowe wskutek unii stosunki ze Sztokholmem wpły-

¹⁾ Harald — śmiały.

nęły na to, że położone daleko na północy Tronhjem straciło swe znaczenie i przestało być stolicą. Dziś jako siedziba rządu, stortingu i najwyższego trybunału jest Chrystyania pod względem ilości mieszkańców mało co mniejszą od Sztokholmu, a rozległością przewyższa go w dwójnasób.

Z gruntem obchodzono się tu rozrzutnie. Teren nie zacieśniony, jak w Sztokholmie, skałami, wznosi się łagodnie pochyłą równią od morza, względnie wód fiordu ku pasmu wzgórz, osłaniających okolicę od północy, a po części wschodu i zachodu. Główny port, zwany Pipervik, leży w pośrodku kabłąku brzeżnego; wskutek tego całe miasto ma kształt wycinka pierścieniowego dwóch kół centrycznych. Przecina je wielka ilość bardzo szerokich ulic, z których najważniejsza, Karl Johansdade, półtora kilometra długa, łączy centralny dworzec kolei żelaznej z królewskim zamkiem. Do połowy nosi ona na sobie piętno ulicy handlowej, pełna przepysznych magazynów i składów fabrycznych — od gmachu stortingu ma bardziej charakter bulwaru i z jednej strony obsadzona drzewami, pyszni się po stronie przeciwnej monumentalnymi budowlami teatru, uniwersytetu i muzeum narodowego, wobec których jednak bynajmniej nie ginie sześciopiętrowy Grand hotel.

Wznosząc się łagodnie w górę, zastawiona jest poprzecznie wielką, koszarową budowlą królewskiego zamku, o fasadzie jońskiego portyku, przed którym wznosi się spiżowy posąg konny Karola XIV Jana, pierwszego z Bernadottów, króla norweskiego i szwedzkiego. Z przed zamku ładna perspektywa w dół na główną arterję stolicy.

Po za zamkiem nowe dzielnice, przeważnie niebrukowane i dla pyłu ulicznego w pogodę niezdolne, mimo wielkiej ilości zieleni i skwerów. Całość robi wrażenie nowożytnego miasta, pamiątek historycznych niewiele; zato życie tu tętni niemal galopem, praca i rozrywka naprzemian pędzi ludzi żwawym krokiem

z jednego nieraz końca miasta w drugi. Główny ruch w okolicach portu, który wywozi rocznie za 30 milionów koron, a wwozi za 75, przeważnie jęczmień, towary kolonialne, bawełnę, węgle, mięso, słoninę i maszyny.

Wymieniam tak wszystko hurtem i na wymienieniu tem poprzestaję, bo ostatecznie Chrystyania do zajmujących miast liczyć się nie może. Koryfeusze narodu, z wyjątkiem Ibsena, unikają jej hałaśliwego życia i rozproszyli się daleko światami. Dwór zjeżdża co kilka lat na parę dni i nie może przyczynić się taką krótką bytnością do wytworzenia towarzyskiego życia wyższych, to jest bogatszych sfer, a storting dopiero od roku 1869 zwoływany corocznie, ożywia jedynie dziennikarstwo, ale w stolicy niczem nie zaznacza swojej bytności, pracując sumiennie wewnątrz ceglanego swego pałacu.

Zbiory muzealne, po większej części w zaczątku dopiero, nie mają czem przynęcić turysty i — prawdę powiedziawszy — nie ma co w Chrystyanii robić. Jedna tylko rzecz, która jest unikatem i którą warto obejrzyć, to statki wikingów, pomieszczone w drewnianych szopach ogrodu uniwersyteckiego. Wiadomo, że jak starych Germanów i Litwinów chowano razem z ich bronią i końmi, tak samo grzebano morskich rąbusiów norweskich razem z ich statkami, które rozmyślnie przedziurawiano i obciążone skałami pogrążano w fale fiordu, w pobliżu siedziby takiego okrutnego zbira. Dotąd udało się dwa takie statki z głębi morza wydobyć. Jeden, bardziej zniszczony, znaleziono w 1867 r. w okręgu Smaalene, drugi, zupełnie dobrze zachowany, w wodach Sandefiordu w r. 1880. Mimo, że wydobyto je z warstwy błękitnej klinki, która zakonserwowała znakomicie drzewo tych łodzi, oprócz samego szkieletu drewnianego, nie znaleziono w nich żadnych kości, sprzętów, broni i skarbów. Rybacy musieli je pokryjomu złupić i między siebie wszystko rozebrać.

Najusilniejsze poszukiwania archeologów po okolicznych rybackich holmach nie odniosły najmniejszego skutku i nieocenione wprost zabytki owe przepadły dla nauki raz na zawsze. To, co pozostaje, daje nam zaledwie wyobrażenie o samejże żegludze owych czasów. Długość lepiej zachowanej łodzi wynosi 16 metrów, wysokość, liczona od spodniego tramu do dzioba, blisko trzy i pół metra. Pokłady były dwa: górny nie miał żadnego obrzeżenia; drugi, umieszczony w połowie wysokości kadłuba, dzielił się na dwie części: tylną zajmowały izby ciemne, przeznaczone na mieszkanie wikinga i zdobycz wojenną; przednia służyła na mieszkanie załogi, a zarazem była obszerną komorą, w której ścianach liczne otwory opatrywano wiosłami, zbiegającymi ukośnie w dół. Mimo bowiem, że wikingowie byli wynalazcami żagla, nie ograniczali się oni na swych wyprawach do użytkowania wicheru, lecz posługiwali się również wiosłami. Łupieżcze ich wyprawy wymagały żwawych obrotów, zarówno w napadzie, jak i w ucieczce, a wtedy nie mogli się spuszczać wyłącznie na kaprysy prądów powietrznych.

Znane są całemu światu owe wyprawy morskie północnych heroów, których przemijającym objawem było królestwo Sycylijskie, a dowodem w języku i obyczajach, do dziś dnia przechowanym, francuska Normandia i niektóre prowincje Anglii. Wiadomo również, że nie Kolumb pierwszy stanął na lądzie amerykańskim, jeno jeden z wikingów norweskich około roku 1000 przedostał się tam przez Islandyę i Grenlandyę i ochrzcił ją nazwą Vinland. Ale właśnie dlatego, że wyprawy ich zapisały się w dziejach europejskich, ogół ludzi zna wikingów jedynie z tych wycieczek dalszych i krwawe ich czyny przypisuje wyłącznie zaborczości ich przywódców.

Tak jednakże istotnie nie było — wikingowie byli postrachem ludności nadbrzeżnej i własnego kraju i mordowali bez najmniejszego miłosierdzia. Walki żaźarte klanów szkockich, opisane tak genialnie przez

Macaulaya, błędną zupełnie wobec rozbestwienia i krwiożerości wikingów. Bywały okolice, gdzie jeden taki rabuś wsie całe w pień wycinał dla najbliższych częstokroć powodów, albo zupełnie bez powodu; a dość powiedzieć, że trunkiem, na którym rzadko kiedy zbywało wikingowi, była ciepła krew ludzka. Dopiero chrześcijaństwo i rządy św. Olafa Magnusa, Olafa Kyrre i innych królów energicznych wypłeniły u brzegów te bandy zbójckie. Jedną z najrozleglejszych placówek wikingów było wzgórze Hladehammeren, tuż przy Tronthjem, gdzie także jeszcze w zeszłym wieku istniały gruzy pogańskiej świątyni, dzięki pastorom przez lud miejscowy rozniesione do szczętu i bez śladu. Wzgórze to było potem codzienną moją wycieczką w Tronthjem dla widoku na miasto i wspaniałych zachodów słońca nad fiordem.

Obejrzawszy dokładnie łodzie wikingów, musiałem pomyśleć o obiedzie. Uprowadzony o niskim poziomie kuchni norweskiej, zwróciłem kroki swe ku Grand hotelowi, jako najlepszej w całej Chrystyanii restauracji. Po drodze miałem czas przyjrzeć się ludności. I znów, jak w Szwecyi, przekonałem się o pewnem podobieństwie jej do typu słowiańskiego. Wszyscy jasnowłosi i jasnoocy. Kobiety *en face* zupełnie ładne — profil jednak zdradza brak wszelkiej rasy. Uderzającą jest niepomniernie wielka ilość chromych, dotkniętych różnem kalectwem w stawach stopy, kolan lub biodra, tych ostatnich zwłaszcza u kobiet. Po za tem wygląd ludności bardzo zdrowy i wesoły, w dobrym i złym kierunku. Zapewniano mnie, że niema miasta bardziej zepsutego niż Chrystyania i że do rzadkości nie należą tu 13—15-stoletnie dziewczynki, zaczepiające mężczyzn. Co do mnie, przypuszczam, że famę tę wyssano sobie z palca, albo, że ją spowodowało dziwne trochę zachowanie się kobiety norweskiej wogóle. Stanowisko jej tu bowiem jest zupełnie odmienne, niż stanowisko kobiety w reszcie

Europy i zbliża się bodaj najbardziej do pozycyi *miss* i *missis* w Anglii lub Ameryce.

Mężczyzna — mówię tu o szerokich masach — przestaje zazwyczaj na elementarnem wykształceniu i skazany jest bardzo wcześnie na walkę o byt; kobieta zaś korzysta daleko dłużej z dobrej szkoły i na ogół biorąc, posiada znacznie wyższe wykształcenie. Dlatego też, jeżeli nie w życiu publicznem — jakkolwiek i w niem ma udział, głosując we wszelkich wyborach municypalnych — to przynajmniej w życiu towarzyskiem zajęła tu kobieta stanowisko dominujące i decydujące. Nie dość, że czuje się ona tu ozdobą świata i osłodą życia, ale nadto istotą zupełnie samodzielną, o niczem nieskrępowanej woli. To jej poczucie pozwala jej w ulicznej kokieterii — w salonowej tembardziej, ale na tym punkcie i u nas jest tak samo — odgrywać rolę zaczepną i tak jak u nas mężczyźni zaczepiają kobiety — tak na ulicach Chrystyanii przeciwnie, jest się przez nie zaczepianym. Pomyliłby się atoli bardzo ten, ktoby, korzystając z zaczepki, chciał nadużyć swej fizycznej przewagi. Kobięcie bowiem nie chodzi w tym wypadku o miłość, lecz o wspólną zabawę przy szklance ponczu, pośmianie się i pożartowanie, które może być zawiazkiem dłuższego stosunku, ale zazwyczaj kończy się na jednym wieczorze.

Nadto przyznać trzeba, że te zaczepki mają mniej brutalną formę, niż napastowanie mężczyzn w innych miastach Europy. Jeżeli, przypuścimy, jakaś długowłosa mieszkanka Chrystyanii upatrzy sobie kogoś, z kimby chciała zawrzeć jednowieczorową znajomość, podchodzi najspokojniej do niego, uśmiecha się przyjaźnie, zatrzymuje w drodze trochę zakłopotana i oczywiście niedługo czeka aż ją zagadną — *das ewig Weibliche* robi swoje. W całym jednak obejściu się niema śladu natręctwa — wśród zaczepki znać jeszcze zawsze poczucie własnej godności.

Odeyfrowując twarze przechodniów i, jak zwy-

kle, dając się tłumowi unosić krok za krokiem, stanąłem, jak wryty, spostrzegłszy przed sobą ni mniej, ni więcej, jeno... Ibsena! A więc to jest Ibsen! Człek barczysty, trochę pochylony w grubym karku, więcej niż średniego wzrostu. Krok nieco kołyszący się i jak na wiek, dość elastyczny. Twarz blada, nos nieco zaczerwieniony, zupełnie siwe bokobrody, okulary złote, a za nimi szare oczy. Najwięcej wyrazu w niezmiernie szerokim i wysokim czole. Zwolniłem kroku, chcąc się dokładniej przyjrzeć, bądź co bądź, największemu dramaturgowi XIX wieku. Było mi to tem łatwiejszą rzeczą, że szliśmy w jedną stronę i mogłem z boku dokładnie mu się przypatrzeć. Od czasu pojednania się z krajem rodzinnym zamieszkał wielki pisarz w Chrystyanii, poprzednio już ulokowawszy swoje kapitały w gruntach podmiejskich, na których obecnie zrobił olbrzymią fortunę. Codziennie około godziny 11-ej rano wychodzi z domu niedaleko Stortinghus i spacerkiem podąża przez Karl Johansgade ku królewskiemu zamkowi. Przed uniwersytetem bada wskazówki barometru, reguluje swój zegarek według ustawionego tam chronometru, poczem zawraca w dół i zachodzi do restauracyi Grand hotelu.

Równocześnie też weszliśmy do przepysznie urządzonych sal i tu dopiero ujrzałem go bez kapelusza. Cieszyłem się w pierwszej chwili, że przez cały czas obiadu będę go mógł obserwować — atoli się zawiodłem. Grand hotel ma dla Ibsena zupełnie oddzielny pokój, w którym on codziennie na pół godziny przed obiadem i między szóstą a siódmą godziną wieczorem zasiada do flaszki ponczu i Vichy i w samotności mrucząc sam do siebie, wypija je. Obecnie jest w trakcie kończenia swego łabędziego śpiewu w formie dyalogowanego poematu, jak Brand lub Per Gynt.

Tak przynajmniej opowiadają tu sobie wszyscy na ucho—czy słusznie, nie mogłem sprawdzić. Zdaje się atoli, że tak istotnie jest, bo już oddawna nie wi-

dziano go w niczyjem towarzystwie, nawet własnego syna. O tym ostatnim nie umięją tu ludzie mówić, jak tylko z pewnym uśmiechem złośliwym. Młody Ibsen bowiem jest typowem dzieckiem wielkiego człowieka i głównym rysem jego charakteru jest szalona ambicja. Ojciec pchał go na stanowisko ambasadora, z którego jednak musiał wkrótce zrezygnować. Obecnie stworzono dla niego jakąś niby katedrę nauk politycznych na tutejszym uniwersytecie, którą z powodzeniem piastuje, wykładając przed pustemi ławkami.

XI.

W maurytańskiej sali Grand hotelu, przy kuflu niemniej lichego jak szwedzkie piwa, zacząłem wertować swój notatnik podróży. Wśród zapisków ze Sztokholmu znajduję adres p. Wojciechowskiego, zamieszkałego oddawna w Chrystyanii. Trzeba się tam dostać—już choćby dlatego, że mam do niego list polecający i ukłony od kolegi. Adres brzmi: Nil Juelsgade nr. 31.

Ruszam tedy w miasto. Metrowa mapa przewodnika ściąga na mnie co chwila oczy wszystkich przechodniów. Już to trzeba przyznać, że wprost do wyższych rozkoszy należy rozkładanie w tłumie wielkich planów różnych Baedekerów, zwłaszcza w takiej Chrystyanii, gdzie ustawicznie panują przeciągi. W chwili, gdy oczy wytopiły już żadaną ulicę, wiatr zamyka ci mapę przed nosem, albo ją rozdziera w strzępy. Nie pozostaje nic innego, jak przedzierzgnąć się na chwilę w Pickwicka, któremu na wyścigach wiatr zerwany kapelusz pod konie rzuca, i z dobrodusznym uśmiechem mówić do przechodniów: prawda, jakie to zabawne? Wistocie jednak nie jest to wcale zabawne i *à la longue* irytuje nie żartem, zwłaszcza, jeżeli bez pomocy mapy nie można się zorientować.

Chrystyania zaś należy do tych miast, w których trudno się połąpać, daleko trudniej naprzykład, niż w wielokrociowym Berlinie, lub nawet w Wiedniu.

Po długich peregrynacjach udaje mi się wreszcie odnaleźć Nil Juelsgade, gdzieś w bok od zamku królewskiego i w kilku susach jestem na drugim piętrze. Dzwonię.

Otwierają się drzwi i ukazuje się w nich żywa antyteza tutejszej kobiety—nizkie, przysadkowate stworzenie, z twarzą podobną do księżyca w pełni. Dowiaduję się, że państwo Wojciechowscy, goszcząc obecnie u siebie jakąś kuzynę z Poznańskiego, wyjechali na wieś, czy nad morze — pan spodziewany jest za kilka dni, a pani wróci do miasta jesienią. Rozmowa toczy się najpoprawniejszą niemiecką. Każę gadatliwej osobce oświadczyć państwu za powrotem:

— *Bitte, mein Fräulein, wollen Sie diesen Brief H. Wojciechowski überreichen und Ihm sagen, dass Ihn sein Landsmann besuchen will...*

— Pan Polak?—odzywa się nagle pękate stworzenie.

Obstupui. Już na wstępie zastanawiała mnie dobra niemieczka, jaką mnie przyjęto, ale doszczętnie zdumiałem dopiero, usłyszawszy polską mowę. Zmieniło to oczywiście od razu mój stosunek do p. Rózi, bony, zarządzającej domem państwa Wojciechowskich, i mimo nieobecności państwa, przeszliśmy do salonu. Tu znęcano się nademną chwilę, wypytując natarczywie o nowinki z kraju. Zdawało mi się, że lawina słów leci mi na głowę i lada chwila pogrzebie na wieki.

Gdy jednak pierwszy atak przeminał, mogłem się od p. Rózi dowiedzieć nieco szczegółów o Polakach, zamieszkałych w Chrystyanii. Jest ich tu więcej, niż się to u nas w kraju przypuszcza, a nie słyszemy o nich dlatego, bo większość ich to szaraczki i ludzie cichej, zazwyczaj ręcznej pracy. Przeważnie są to Wielkopolanie, którzy — nie mogąc wytrzymać konkurencji z rzemieślnikiem niemieckim, a zwłaszcza z berlińskim—przenieśli się tu na stałe i zdobyli sobie bardzo dobry byt. Jest ich tu kilkadziesiąt rodzin

różnego fachu i zatrudnienia, a największem uznaniem u miejscowych cieszą się szewcy, dzięki umiejętności swej i rzetelności.

Nie łącząc się z Norwegami związkami krwi, tworzą Polacy chrystyjańscy zamkniętą kolonię — i jako tacy, cieszą się dobrą reputacją i ogólnem poważaniem, a o stanowisku, jakie tu zajęli, najlepiej świadczy fakt, że młody wikaryusz przy Vor Frelzers Kirke (kościół Zbawiciela) uczy się obecnie po polsku, aby dla nich mieć kazania w mowie ich ojczystej. Nietylko to jednak stwierdza sympatję Norwegów dla nas Polaków; także w życiu prywatnem i społecznem odnoszą się tu ludzie do nas bardzo przyjaźnie.

Z polskiej kolonii tutejszej — prócz p. Wojciechowskiego, który, dorobiwszy się majątku, żyje dziś z kapitału i, jak to wiem z kądinąd, nie szczędzi grosza na nasze ogólne cele — wybił się z szarej masy niejaki Szaciński, nadworny fotograf. Niestety, kilka miesięcy temu nieznane bliżej powody wcisnęły mu w rękę broń, atelier jednak prowadzi dalej wdowa pod dawną firmą i na rogu jednej z przecznice Karl Johansgade widnieje między innymi ogromny szyld z nazwiskiem na ...ski.

Nasłuchawszy się do syta od p. Rózi o życiu tutejszem z punktu widzenia targowo-kuchenne-gospodarskiego, zaproponowałem wspólną wycieczkę zamieszką. Propozycja została tem chętniej przyjęta, że p. Rózia nie wiedziała, co z sobą począć, i właśnie trapiła się nad tem, że wszyscy dziś mają majówkę, a tylko ona musi sama siedzieć w domu. Dzień ów bowiem był wigilią św. Jana, zwyczajowem świętem Mittsommer, o którym już poprzednio wspomniałem. Podobnie jak w słowiańszczyźnie i wogóle u wszystkich ludów europejskich najdłuższa noc (21 grudnia, względnie Boże Narodzenie) i najdłuższy dzień (21-go czerwca, względnie św. Jana) odróżniano od innych dni roku i związane z niemi pewne zwyczaje i obrzędy — tak samo w Skandynawii dnie te w zamierzchłej,

pogańskiej jeszcze epoce odznaczono pewnemi uroczystościami i obchodami. Chrześcijaństwo wyzyskało zejście się święta zimowego z datą narodzin Chrystusa i święcąc ten dzień uroczyste, przytłumiło wszelki ślad święta pogańskiego. Nie udało się to jednak Kościołowi z letniem pogańskim świętem i pozostało ono do dziś dnia jako przeżytek poganizmu: u nas w formie wianków i sobótki, w Skandynawii zaś jako święto Mittsommer.

Nasze wianki i sobótki, przynajmniej w oczach inteligencji, zachowały w sobie pewien odcień, a raczej ślad tradycji; za Starą Baśnią, za Kraszewskim, Malinowskim, Kirkorem i innymi, przypisuje ogół zwyczaj sobótek świętu Kupały, nieznanemu bliżej bóstwu pogańskiemu, które lingwiści pragną zredukować do pospolitego imienia kapadło, zaznaczając zarazem, że nie służył ten wyraz nigdy do oznaczenia jakiegokolwiek bóstwa, lecz zwyczaju powszechnego — mianowicie, że w tym dniu lub około tego czasu chodzono gromadnie kąpać się do rzek i wogóle do wód otwartych, o czem świadczyłaby jeszcze znana w Polsce przestroga, aby się nie kąpać w rzekach przed św. Janem. Daremnieby szukać u naszego ludu jakichkolwiek śladów tradycji; nie jej musiała się zerwać bardzo wczesnie, skoro już Kochanowski nie umiał nam o niej nie powiedzieć. Wobec słabego, zdaje się, rozwoju pogańskiego kultu u dawnych Słowian, brak wszelkiej tradycji na punkcie sobótek i wianków nie powinien zastanawiać i dziwić. Dlaczego jednak tu w Skandynawii tradycja zatraciła się doszczętnie — to o wiele już trudniej pojąć. Czy socjologowie i folklorysty skandynawscy starali się Mittsommer wytłumaczyć z Eddą starszą w rękę — nie wiem; wiem jednak, że na podstawie Eddy tłumaczenie takie leży wprost na dłoni i samo się rzuca w oczy. W jednej z pieśni tych świętych ksiąg znajduje się opis odwiedzin Wodana i Humera, króla dalekich krain, a zarazem potężnego olbrzyma, który ukradł młot Thora

(grom niebieski) i to samo chce uczynić ze słońcem, korzystając z ciemności otaczających je chmur. Wodan przychodzi do niego w postaci wędrowca i jest przez niego katowanym w ten sposób, że Humer zbliża coraz bardziej do niego rozpalone do białości kotły. Wodan znosi dłuższy czas te męki, ale w końcu zrywa się gniewny, chwytając grom Thora, leżący na kolanach Humera, zabija nim olbrzyma i jako tryumfator wraca do przybytku Wanów do Walhali.

Przytoczona powyżej treść rapsodu Eddy, przełożona na język niesymboliczny, nie jest niczem innym, jak tylko mytem zimowym. Wodan jest siłą żywotną całego świata, a więc w pierwszej linii słońcem, światłem i ciepłem. Humer, potęga groźna i niszcząca, zabrał Thorowi młot, t. z. z nadejściem jesieni, a zwłaszcza zimy, ustają burze z piorunami, a słońce zdaje się padnie także ofiarą łupieztwa, bo oto coraz gęstsze chmury je zasłaniają i jednooki Wodan nie może jego biegu śledzić. Niepewny jego losów, wysłał już jednego i drugiego gońca; najchytrzejszy z nich odkrył, że młot Thora leży na kolanach Humera, ale mu go zabrać nie zdołał. Wtedy sam Wodan idzie do olbrzyma, a wędrowka jego przypada mniej więcej około 21-go grudnia. Kotły rozpalone w podwórzu zamkowym nie są niczem innym, jeno słońcem. Humer przysuwa je coraz bardziej do Wodana, t. z. ziemia w zimie znajduje się w miejscu przysłonecznym swej drogi, najbliżej słońca. Dzięki cudownej atoli mocy Wodana, kotły te go nie palą — w zimie słońce nie dokucza ziemi — i Wodan wychodzi z nich zwycięsko. Zabrane z kolan Humera młot odzyskuje się wnet wiosennym grzmotem i piorunem. Normalny bieg natury powrócił znów. To, co myt religijny wypowiedział o zbliżeniu się największemu ziemi do słońca w dniu 21-go grudnia — zapewne na podstawie nie dających się dziś wykryć danych astronomicznych, będących tajemnicą bardów-kapłanów — to ogół utożsamiał z największymi skwarem letniami,

względnie najdłuższym dniem i w dniu tym, podobnie jak Wodan, idzie na wędrowki zamiejskie, a przede wszystkim pali ognie i spędza przy nich całą noc. Najcharakterystyczniejszym bowiem znamieniem Mittsommer jest ilość ognia, używanego na świeżem powietrzu w formie watry, raket i zapalonych beczek smolnych, rzuconych na wody fiordu. Powyższe tłumaczenie obyczajowej strony Mittsommer może się wydać niejednemu nawet czytelnikowi nazbyt dowolnem — a jednak wskazówki moje okazały się więcej niż prawdopodobne każdemu, kto się z mitologią północną bliżej obezna. Uczynić to tem łatwiej, że istnieje bardzo dobre tłumaczenie niemieckie starszej i młodszej Eddy i to w taniem wydaniu Reclama — trud zaś czytania osłodzi każdemu niezmówna poezja tych religijnych rapsodów, których jedyną ujemną stroną jest ciągła niekonsekwencja w pojmowaniu i tłumaczeniu sił przyrody. Wogóle pozwolę sobie zauważyć, że o ile mi wiadomo, poważna nauka o religiach i kultach, za mało dotychczas uwzględniła mitologię skandynawsko-islandzką, która mimo atropomorfizmu, była religią niezmiernie oryginalną, zupełnie różną od greckiej na przykład, a przedewszystkiem religią, którą chrześcijaństwo zaskoczyło w połowie rozwoju, w połowie procesu wykryształizowania i że tem samem jest ona wybornym świadectwem, jak z chaosu najdziwniejszych i najniekonsekwentniejszych pojęć i wyobrażeń tworzą się kultury skończone, zamknięte w sobie i pod pewnym względem doskonałe.

Czytając Eddę, można na gorącym prawie uczynku chwytając pracującą myśl ludzką, ową myśl, która, gdy rzecz swoją wykończy, każe nam przed sobą schylać czoła i napełnia nas zdumieniem zarówno na wyżynach Tybetu, jak piaskach Arabii. Nietylko jednak socjolog powinien Eddę mieć w swej podręcznej bibliotece, ale także każdy człowiek inteligentny, a przedewszystkiem literat. Nie ulega chyba wątpliwości.

że gdyby p. Maks Nordau znał Eddę i północną mitologię wogóle, nie pisałby takich banialuk o Wagnerze i zrozumiałby, z kąd się u niego bierze wytykana i kładziona na karb zwyrodnienia niekonsenkwenca w fabule lub zasadniczej idei kilku oper genialnego kompozytora. Cały bowiem Wagner nie jest niczem innem, jak transponowaną na tony i melodye Eddę, w którą wpleciony jeszcze został zmysłowy pierwiastek samegoż muzyka.

XII.

Zauważyłem poprzednio, że skandynawski Mittsommer nie opiera się już dziś na żadnej tradycyi i że jest świętem zwyczajowem. Nie uwalnia ono nikogo od pracy, jakkolwiek ma swe odrębne prawa. Integralną jego częścią są wycieczki zamiejskie. Ludzie bogaci wyjeżdżają zazwyczaj na wieś do znajomych lub własnych majątków. Mieszczaństwo poprzestaje na przekroczeniu rogatek miejskich lub, jeżeli to jest nad morzem, na wycieczkach łodziami żaglowemi, lub na pokładzie większych parowców. Jak w inne dnie sklepy i kantory otwarte przez cały dzień, zamykają się w Mittsommer już około godziny 6-ej wieczorem. Ludzie wdziewają odświętne szaty i bez wyjątku trawią czas pod gołym niebem. Wszędzie, zwłaszcza w okolicy portu, snują się gromadki rozbawione, zazwyczaj dwie, trzy rodziny razem, z jadłem, samowarami, nierzadko namiotem, a zawsze mnóstwem pleców i ciepłych okryć i ruszają tak wyekwipowane na wyspy i wysepki fiordu, albo dalekie jego zbocza skalne, porośłe lasem. Tam gromadka sadowi się w osłoniętej od wichru kotlinie, albo pod konarami sosen, rozpala ognisko, spożywa dary Boże i całą, zupełnie widną noc przepędza na świeżem powietrzu. Starsi leżą przy ognisku i raczą się ponczem; młodzież obojej płci wyprawia gonitwy po gajach i wzgórzach, albo przy akompaniamencie harmoniki lub skrzypiec tańczy, śpie-

wa i weseli się. Jeżeli pogoda dopisze, to całonocne te wycieczki mają niewątpliwie wiele uroku i poezji; gdy jednak, jak to było w tym roku w Chrystyanii, zimny wiatr pędzi tumany mgły i drobnego deszczu, wszyscy mają miny kwaśne i skupieni pod gałęziami drzew, wyglądają mniej więcej jak zmokłe kury pod stertą siana. I najgorsza jednak pogoda nie zatrzyma w tym dniu ludzi w domu. Z wieżyczki królewskiego zamku Oscarshall, mikroskopijnej letniej rezydencji króla norweskiego, przyglądałem się jeszcze późną nocą tysiącom ognisk na wysepkach fiordu i drugim tysiącom płonących wprost na wodzie beczek smolnych, które siecią złotych smug objęły wszystkie wody zatoki. Pyszniejszej iluminacji nie widziałem w życiu, a urok jej podnosi bardzo ruchliwość tych świateł i światełek. Tutejsi uważają sobie za punkt honoru szybkie manewry na wodzie, prześcigają się nawzajem, gonią, tłoczą w jedno miejsce i nawzajem odpychają i zabawy te nocne są czasem początkiem formalnych bitew morskich.

Zwyczaj miejscowy toleruje je bez szemrania i to nietylko na wodzie, gdzie ekscedentów trudno dogonić, ale i na ulicach. Mittsommer ma między innymi i ten przywilej, że wieczorem tego dnia wszystkie posterunki miejskiej policji są ściągnięte i na ulicy wolno każdemu w pewnych granicach robić, co mu się podoba. Podchmieleni nie obawiają się, że państwo dostarczy im bezpłatnego noclegu, a zachowanie się ludzi na ulicy jest tak swobodne, że wolno każdemu każdą kobietę pocałować i nie mu się za to nie dzieje, choćby przy jej boku siedł narzeczony. Ale po pierwsze, uliczne te psoty mają charakter pocałunku przy rosyjskiem *Christos woskres*, a po drugie, praktykowane są wśród drobnego mieszczaństwa na wzór osypywania u nas owsem przechodniów w dzień św. Szczepana.

Charakter i obyczaje tego skandynawskiego Bajramu podpatrzyłem, włączając się sam po mieście za

powrotem z wycieczki wspólnej z moją przewodniczką, p. Rózią. Wyjechaliśmy z miasta około 5-ej po południu. Tramwaj konny dowiózł nas do końca przedmiejskich zaułków, gdzie przesiedliśmy się do wagonu kolei elektrycznej. Po szkarpach w zakosy mijamy polanki i mniejsze łysiny leśne, aby po półgodzinnej podróży wysiąść przed werendą jakiejś jadłodajni, obleżonej formalnie przez Anglików! Na chwilę miesza się z ich tłumem, i pokrzepieni wybornem mlekiem, którego tu wszędzie można dostać, od straganu ulicznego poczawszy, a na najlepszej cukierni skończywszy, wdrapujemy się żwawo na górę. Ztąd już rozpościera się u stóp naszych widok nielada.

Holmekollen, to jest góra, na zboczu której stoi my, opada łagodnie ku wodom fiordu i pozornie łączy się z lasami wysepki, na najwyższym swym punkcie świecącej białą plamą. To Oscarshall. Poza nim kołyszą się błękitne fale fiordu, a w lewo pomiędzy wierchołkami blizkich świerków błyskają tysiączne domy i gmachy Chrystyanii. Jest tu tak pięknie, że poprostu człowiek zgodziłby się na paraliż oka, byleby w niem ten widok pozostał na zawsze. Sąsiedztwo atoli Anglików i ciągle obserwowanie nas z pod oka wypędza nas wkrótce w las. Pięknie utrzymanymi ścieżkami wydostajemy się na szczyt Holmekollen, ozdobiony ażurową gloriętką.

Widok ztąd nierównie piękniejszy, niż z werendy restauracji. Lewa jego strona pozostała niezmienną, ale zato wprost przed nami oko ślizga się po błękitnym zatopie chrystyańskiego fiordu, hen, daleko na południe, aż ku Skagerrakowi.

Po prawej zaś ręce i ku północnemu zachodowi widnieją w dali wyżyny Thelemarku, obramowane żarzą gasnącego słońca, olbrzymie, potargane turnie Alp skandynawskich, niby jakieś bestye płomienne, płatami śniegu pocentkowane. A dalej jeszcze, już ledwo widne oku, bieleje jedno, nieprzerwane pole śnieżne—ogromny, groźny, wiecznie zaskrzepły field. — Patrząc

w niego, patrzę w czarne żleby, które podarły zbocza bliźnich gór, poglądam na ostre ich granie, przełęczę i wstęgi spienionych wód i nagle budzi się we mnie taternik, budzi się chęć jak najszybszego wdrapania się na czarne krzesanice, jakaś gorączka zastałych tydek—więc zbiegam w dolinę, postanawiając zaraz na zajutrz ruszyć w dalszą drogę.

Zanim jednak nazajutrz opuściłem Chrystyanie, trzeba mi było jeszcze przejść całą ceremonię *table d'hôte'u*. Dotychczas jadałem zazwyczaj w mieście, już choćby dlatego, żeby się przyjrzeć ludziom i mieć zaraz pod ręką gazety. W ostatnim jednak dniu, mając zaraz po posiłku wędrować z kuferkiem na kolej, zawiadomiłem *fröcken* Meyer, żeby i mnie wpisała na listę obiadujących. Zapomniałem dotąd nadmienić, że za przyjazdem ulokowałem się w Hotel pension p. Meyer, na rogu Kyrhe i Karl Johansgade, tanim i bardzo dobrym hotelu, który każdemu turyście mogę sumiennie polecić. Przyszło mi siedzieć naprzeciwko młodej gospodyni, typowej chrystyanki, bo chromej w biodrze, a obok jakiejś starszej Norweżki, z którą się wnet zawiązała rozmowa. Gdy oświadczyłem, jakiej jestem narodowości, zaczęto mnie pilnie śledzić, czy przypadkiem... szkła nie jadam, a najzabawniejszym był moment, gdy gospodyni, słysząc rzekomo już nie jedno o Polsce i Polakach, zapytała najspokojniej, jakim językiem mówią Polacy: niemieckim, czy francuskim? Trudno jej było uwierzyć, że mamy swoją ojczystą mowę i wspaniałe literackie płody, a że np. taki „Pan Tadeusz” jest jednym z najwspanialszych poematów świata i że go przełożono na wszystkie języki europejskie, nawet duński, a więc tem samym i norweski. Z „Pana Tadeusza” przeszła rozmowa na literaturę wogóle, a norweską specjalnie. Przekonałem się z niej, że z pośród pisarzy i poetów tutejszych zyskało w ojczyźnie swej popularność kilku zaledwie. Wszyscy tu znają i czytają: Ibsena, Björsona, Brandesa, potrosze Jacobsena i co nieco słyszeli

o Ohi Hansonie. Strindberga nie czytają, bo jest Szwedem, a tacy jak Garborg, Knut Hamsun i kopenhaska grupa młodych znajdują się na społeczno-towarzyskim indeksie. Rozpytywałem, co mogą mieć ziomkowie przeciw ich pismom?

— Oni piszą źle—tłumaczono mi lichą niemiecką—bo piszą strasznie czarno.

— Ależ i Ibsen, wasz uznany Ibsen, jest skończonym pesymistą. Dlaczegoż godzicie się na niego, a potępiacie Garborga?

— Ci i inni młodzi piszą źle. Wprowadzają jakieś nowości, jakąś nieznaną i odrębną moralność, a właściwie zupełne zamieszanie pojęć etycznych. Zresztą trudno ich zrozumieć.

Z kilku jeszcze luźnych uwag zrozumiałem, na czem polega niepopularność anatematem objętych poetów. Stara historia, po wsze czasy znana, a i u nas nie obca. Poprostu ludzie ci piszą inaczej, niż dotychczas pisano—tworzą rzeczy samoistne i oryginalne, wydobywają na wierzch istniejące, ale starannie w cieniu skryte strony duszy ludzkiej, a ogół, uważając ich za przewrotowców, boi się ich poprostu.

W odniesieniu do Knuta Hamsuna, ważniejszą jeszcze rolę, niż uprzedzenie, odgrywa tu inny moment. Norweg jest koniec końcem chłopem, na ogół biorąc, bardzo trzeźwym i prosto na świat patrzącym. Społecznie biorąc, demokrata do szpiku kości, jest nim również w zakresie myśli i wewnętrznym życiu duszy. Niepodobna więc od niego żądać, aby mógł do niego przemówić taki arystokrata ducha, taki przeczulony duchowo „pan z panów,” jakim jest Hamsun. Proszę wziąć, przypuśćmy, takiego „Pana” (bożek leśny), obok „Mysteryi” najwspanialsze dzieło Hamsuna. Subtelność wyczuwania u Płoszowskiego traci niesłychanie na porównaniu ze sposobem czucia i myślenia lejtnanta Glahn'a, bohatera poematu. A epilog powieści — śmierć Glahn'a w puszczech afrykańskich? Ta za słaba wola, aby popełnić samobójstwo, ekspery

mentowanie z uczuciami swego towarzysza łowów i drażnienie jego ambicji próżnej—że próżnej, o tem zjadacz serc niewieścich, lejtnant Glahn, wie sam doskonale—drażnienie do tego stopnia, że w końcu napastowany wpędza Glahnowi kulę w plecy i kładzie go na miejscu trupem, czyż cały ten szalony smutek bohatera i nigdzie wprowadzie nie wypowiedziany wprost, ale tem silniej między wierszami zaznaczony przesyt życia i *vanitatum vanitas* nie są ostatnim wyrazem artyzmu, wykwitem najwyższej arystokracji ducha i mózgu? Bohater Huysmansa w *Au rebour* jest w porównaniu z Glahnem karykaturą arystokraty ducha, dziwakiem jakimś, chwilami świadomie podłym i złym człowiekiem; lejtnant Glahn zaś skończonym typem przerafinowanego dziecka końca wieku, z całą jego bezsilną rozpaczą, melancholią i smutkiem. Utwór ten, niestety, mało u nas znany, jest jednym z najwspanialszych poematów dzisiejszej literatury światowej. Ale jeżeli swych czcicieli znajduje z trudem w kołach najwyższej inteligencji i w gronie najbardziej wygimnastykowanych mózgów, a zwłaszcza serc wśród społeczeństw europejskich — to jeszcze wiele lat będzie trzeba, aby się na ogromnej jego wartości poetyckiej poznał naród norweski i należną cześć otoczył jego twórcę.

Anim się obejrzał wśród ożywionej dyskusji, że godzina mego odjazdu zbliża się szybko i że mi trzeba copędzej ruszać na dworzec. W kilku minutach przebiegam wschodnią połąć Karl Johansgade; jedno jeszcze spojrzenie na zamek królewski, jeden jeszcze rzut oka na ludzi i ruch stołeczny i oto już jestem w wagonie trzeciej klasy kuryerskiego pociągu, który mnie zawiezie daleko na północ, parę stopni geograficznych bliżej bieguna, niż Petersburg.

XIII.

Po kilkodniowej krętaninie wśród ludnych ulic Chrystyanii jazda koleją wydała mi się poprostu odpoczynkiem. Z pewnem zadowoleniem myślałem o tem, że przeszło 18 godzin będę mógł spokojnie posiedzieć, zebrać myśli, przeżyć wrażenia i uporządkować je jako tako. Dobrotliwa matka natura pomagała mi ze swej strony w tym względzie jak mogła, zasłaniając kraj cały gęstym welonem ulewy, a potem, im wyżej wspinaliśmy się w górę, tumanami mgły i chmur.

Miałem, dzięki temu, sam przed sobą wymówkę, że nie siedzę z oczyma przyklejonemi do szyby okna i nie dręcę się odczytywaniem cyfr na słupach kilometrowych i telegraficznych. Weisnałem się w kąt wagonu, „poszedłem w siebie”, t. j. oddałem się całej leniwej zadumie, która, dzięki rytmicznemu turkotowi kół, przybiera dla mnie zawsze formę jakichś nieokreślonych, przepięknych melodyj, jakiegoś dziwnego rozchwiania się w gorączce i wizji. Dziwnie mi wtedy wszystko w głowie śpiewa, choć nigdy tych pieśni nie udaje mi się usidłać w słowa i pochwycić, nigdy... Zaduma przechodzi też powoli w smutek, a od tego krok już tylko jeden do spleenu. Ot, ucieka człowiek światami, niby to od stosunków, niby to od ludzi, a ani mu w myśli nie postoi, że to on z sobą wiezie gorycz i zło i że nigdzie mu przed tem

schronić się i nigdzie mu przed tem uciec, nigdzie! I to, co przed chwilą zdawało się być pożądanym wypoczynkiem, zamienia się wnet w mękę, lub co gorsza nudę.

Osiemnaście godzin jazdy!

Kuryer pomiędzy Chrystyanią a Tronthjem chodzący wprawdzie szybko, ale monotonia drogi przedłuża ją znacznie. Widoki natury, gdy się ich bardzo wiele ogląda w krótkim względnie czasie, nużą wreszcie oko i umysł i z takiej, jak moja, podróży, wynosi się dopiero przekonanie, że sama natura bez człowieka, choćby była najpiękniejszą, jest koniec końcem czza i nudną. Czy to będą najwspanialsze lasy górnego Congo, znane mi z opisów Stanleya, czy bezbrzeżne lodowiska biegunowe, przez które wędrował Nansen, czy wreszcie jakikolwiek inny szmat pięknego kraju, zawsze i wszędzie urok natury i jej niespożyte piękno podnosi obecność człowieka i nie tylko podnosi, ale poprostu stwarza. Dlaczego? nie umiałbym chyba powiedzieć. Nie chodzi mi bowiem bynajmniej o sentymentalne „podzielanie wrażeń” i cielejące nad naturą zachwyty, jeno o ten zupełnie odmienny sposób odczuwania przyrody w pobliżu ludzi i ludzkich mieszkań w porównaniu z odczuwaniem jej gdzieś w zupełnej pustce, gdy się w nią patrzy oko w oko. Rzecz chyba polega na tem, że gdy oglądamy naturę samą w sobie, razi nas w niej w najtajniejszych jej głębiach tkwiąca i nieświadomie przez nas wyczuwana jej bezcelowość, a więc i bezduszość i że dopiero człowiek zapładnia ją swym duchem, bez którego nie ma piękna.

Dlatego ta droga wzdłuż lewego brzegu Glommen, najdłuższej z rzek Norwegii, która od Chrystyanii poblyskuje ciągle u stóp nasypu kolejowego, nie może się nazywać piękną.

Mijamy wprawdzie co kwadrans lub pół godziny mniejsze i większe osady ludzkie, ale te rzadko rozsypane grupy chat i zabudowań niezdolne są ożywić

okolice skalistej i leśnej. Wszędzie te same czarne, bazaltowe, czy granitowe góry, wszędzie ten sam las brzozowy lub świerkowy. Najwięcej jeszcze życia niosą z sobą fale rzeki. Kilkaset kilometrów spławna, służy za szlak taniej komunikacji pomiędzy środkiem kraju a morzem. Okolice jej — o czem zresztą trudno przekonać się z okien wagonu — mają być podobno najbogatszym kątem Norwegii, dzięki ożywionemu handlowi drzewem budulcowem. O obfitości jego świadczy mnóstwo składów belek i kłód wprost na wodzie, a jeszcze bardziej pogubione pnie i trawy, o które nikt się nie troszczy i nie myśli łapać. Pływają sobie swobodnie, pozostawione na użytek biedniejszej ludności nad dolnym biegiem rzeki, gdzie niema takiego bogactwa lasów.

W miarę jak pociąg powoli wprawdzie, ale ciągle wznosi się w górę, horyzont zacieśnia się coraz bardziej i coraz wyraźniej występują z mgły otaczające dolinę Glommen skały. Mają one swój właściwy, odrębny charakter i niepodobne w niczem do regli tatrzańskich lub alpejskich, przypominają wzgórza bazaltowe u spływu Beronki i Weławy powyżej Pragi, a jeszcze bardziej niektóre skalne partye czeskiej Szumawy. Charakteryzuje je czarna ich barwa i spękanie się litej skały w mniej lub więcej regularne romboidy, które z czasem, odpadając od rodzinnej turni, zamieniają ją w zbiorowisko małych piramid lub stopni, zależnie od spistości masy skalnej i kierunku jej łupliwości. W powstałych tak szczelinach sadowią się świerki i brzozy, i dlatego rzadkie ich zastępy zdają się sztucznie ręką ludzką posiane w przecinające się regularnie linie. Wolne zaś półka, otoczone takim szeregiem drzew, zdają się zdaleka pokryte grubą warstwą żółtych trocin. Jest to mech, właściwy tym okolicom, który zawzięcie pracuje nad użyźnieniem skalistych pustkowi.

Około godziny 12-ej w nocy pociąg porzuca dolinę Glommen i zapuszcza się w cały labirynt su-

chych dolinek, których ściany utworzone są zazwyczaj z wielkich zwaków morenowych. Przed wiekami toczył tu swe łyskliwe cielsko ogromny lodowiec. Dziś warunki klimatyczne zmieniły się do tego stopnia, że z lodowca i ślad nie pozostał, a granice skalne za ostre tu, aby mógł na nich uleżeć field. Tu i owdzie tylko leży w zagłębieniu płat śniegu i sączy z pod siebie kryształną strugę.

Śniegi te są nam coraz bliższe, aż wreszcie około godziny 3-ej w nocy jesteśmy wśród nich i mijamy je na prawo i na lewo. Pociąg minął dawno granice lasów i łąk i wspina się już od godziny po litej skale. Wyżyna tu pusta, martwa i przedziwnie smutna. Mgły się jeno włóczą i kurki śnieżne płaczą, a ktoby się dobrze wpatrzył, ujrzałby może wśród mroku obłąkane widmo Branda, który w tej dziczy dopiero poznał, że najwyższym bogiem jest *Deus caritatis*, ów Bóg, którego on tam w dolinach nie rozumiał i każdym swym czynem zadawał w najlepszej wierze nowe rary Ukrzyżowanemu.

Na 418 kilometrów, licząc od Chrystyanii, mijamy na lewo słup, którym oznaczono najwyższy punkt drogi. Okazuje się, że jesteśmy tu 2,135 stóp nad poziomem morza. Odtąd bieg pociągu staje się coraz szybszy. Prędko bardzo przebiegamy cały szereg pustych dolinek, z których jedna wprowadza nas do doliny rzeki Gula. Aż do Tronthjem będzie nam ona towarzyszyła, urozmaicając drogę kilku ślicznymi kataraktami. Zwolna rozwidnia się zupełnie i już w pełnym blasku słonecznym zbliżamy się do Atlantyku. W jednym miejscu drogi widać już jego błękitne wody i wnet też, minawszy krótki tunel, wjeżdżamy do Tronthjem.

Za przyjazdem wypytuję w pierwszej linii o mego „Tordenskjölda.” Dowiaduję się, że za trzy dni spodziewany jest z Nordeapu, że zatem nietylko nie spóźniłem się, ale mogę sobie tu dłuższą odprowadzić stację. Ulokowawszy się w hotelu *d'Angleterre*, ru-

szam w miasto w kierunku portu. Minawszy właściwą przystań, przechodzę przez przedmieście Baklandet i wspinam się na krzakami dzikich róż i leszczyzny porośnięte wzgórze Hladehammern. Staram się usiłować odszukać ruiny pogańskiej świątyni i zarazem skalne nory sławnych tutejszych wikingów. Miejscowi rybacy nie umieją mi jednakże nic powiedzieć, ani objaśnić. Wiedzą wprawdzie i słyszeli od swych ojców, że gdzieś w tych miejscach świątynia taka stała, ale gdzie, tego nikt nie wie. Zrezygnowawszy z odnalezienia ruin, zbiegam nad brzeg. Łom kamienny upadł tu prostopadłami warstwami i morską wodą płókany, ułożył się w szereg stopni białych, połyskujących na słońcu. Nie sztuka wśród nich znaleźć wygodny fotel; więc jak bohater Hugonowskich „Pracowników morza”, siadam w takim skalnym zagłębieniu i patrzę na fiord. Tronthjemski fiord należy do najcharakterystyczniejszych w całej Norwegii. Jest on tak, jak wszystkie inne, wąską tylko gardzielią połączony z oceanem. Im dalej wdzierają się w głąb lądu, tem staje się szerszy. Długość jego wynosi dziewięćdziesiąt przeszło kilometrów, a szerokość czterdzieści kilka. Brzegi jego tuż przy wodzie są urodzajne i gęsto zaludnione, ale zaraz za tym żyznym pasem zaczynają się nagie, puste skały i one to osłaniając od wichrów zimnych zamieniają fiord w jedną ogromną cieplarnię. Rozpatrzywszy się bliżej w mapie Europy i Ameryki, łatwo się przekonać, że te zatoki, osiłą swą dłuższą zawsze prostopadłe do trzonu gór ustawione, kształtu rozłożystych drzew, których korzenie wrosły w ocean, a gałązki wdarły się w zbocza gór, właściwe są wyłącznie strefom zimnym, północnym, i że nie przekraczają one nigdy ku południowi linii izotermicznej dziesięciu stopni Celsjusza temperatury rocznej. Gdybyśmy nadto połączyli linią łamaną te wszystkie punkty lądów północnych, w których w zimie zawsze tylko śnieg pada, a nigdy deszcz, to przekonalibyśmy się, że i tej również linii fiordy nie

drzekraczają i równie w Europie, jak i Ameryce, znajdują się wewnątrz niej.

Powstanie fiordów tłumaczyli geologowie zrazu wiekowem działaniem lodowców, które, staczając się ku morzu, wyłobiły dzisiejsze ich łożyska. Z chwilą atoli, gdy najpierw na Lysefiordzie, a potem i na innych przekonano się, że dno ich leży nieraz znacznie niżej, aniżeli dno oceanu na wiele nawet mil przed ich ujściem, tłumaczenie to okazało się fałszywem i dziś nikt już nie wątpi, że istniały one już wówczas, gdy i ląd stały się tworzył. Wskutek wazkiej bardzo gardzieli, łączącej wody fiordu z oceanem, mają one raczej wygląd jezior, niż morza. Bywają wprawdzie na nich burze, nawet bardzo gwałtowne, ale nigdy niema tu ogromnej fali spiętrzonej i wścieklej. Topiel spokojna kołysze się w nich zwykle bardzo łagodnie, błękitna jak chabry polne. A kiedy czyste niebo nakryje litą kopułą szafirów góry okoliczne i zalew wód, świat cały zamienia się wtedy w jakąś błękitną sielankę, niezmiernie, niewypowiedzianie piękną.

Siedzę na skale i słucham plusku wód. Na jedną chwilę nie znają one spoczynku. Przychodzą wzdętym wzgórkiem, trącają o głaz i łamią się na nim dziwnie melodyjnie, miękko i śpiewnie. Z tych to samotnych spacerów nad fiordem tronthjemskim mam następującą notatkę poetycką:

Nad brzegiem fiordu, na skalistej szkarpie
Lubię siadywać o zachodzie słońca,
Kiedy już fala gniewnie się nie szarpie,
Ani na pianę o bazalt roztrąca —
Ale pótsenna leniwie omdlewa
I najpiękniejsze pieśni swoje śpiewa.

Natenczas słyszę nad sobą gdzieś w górze
Ledwo pochwytnie, dobre, tklive głosy.
I — czy że skrzydła wyrosły mi duże,
Czy, że się ku mnie przegięły niebosy.
Z pod praw ziemskiego ciężenia wyjęty,
Zdaje się płynąć przez jakieś odmęty.

I nie jest to już mewy śnieżnopiórej
Skrzydłata pławba nad zmarszczoną tonią,
Ani wędrówka obłąkanej chmury,
Ni harce wichrów, gdy się wzajem gonią,
Jeno nierównie powiewniejsze trwanie
Na niezmiernym myśli oceanie.

Kiedy po jego rozbującej toni
Za się i przed się bystre puszcze oczy,
Widzę jak wieczność ponad nim się kłoni
I krańce czasów ze sobą jednoczy;
Przeszłość i przyszłość wiążąc jednolicie
W zakłęte koło, bajkę, sen, nie — życie.

I widzę wtedy, jak bardzo jest blizki
Rozwianej garści umarłego prochu
Pierwszy poranek dziecięcej kołyski;
I widzę wtedy, ile drzemie szłochu
Na dnie uśmiechu, co kaskadą srebra
O krztynę szczęścia u przeznaczeń zebra.

Więc z napowietrznej mej płacówki patrzę
Na liche żądze i ptonne wysiłki,
Na ślady stóp mych, które czas wnet zatrze,
Na lata — chwile i na dzieła — pyłki,
Na długie smutki, przelotne uśmiechy,
Pozorne cnoty i rzekome grzechy.

I już mi żalem nie nabrzmiewa rzęsa,
Żem jest jak żóraw odbity od stada,
Co po niezmiernej pustce się wałęsa
I za wzlot jeden sto razy upada —
Ani się wstydzę, że pośród ogromu
Zgubiłem drogę do mojego domu.

I już mi smutek nie siada u czoła,
Że na mą duszę błądą i stęsknioną
Żadna pokrewna dusza nie zawoła
I żadne mi się nie odemknie łono
I nikt mi dłoni na skroń nie położy.
I że mi będzie źle i coraz gorzej

Już się nie skarzę — jeno zasiłuchany
W plusk sennej toni, zapadam powoli
W zupełną głuszę, jakiś kraj Nirwany,
Gdzie nic nie cieszy i nic już nie boli
I kędy dusza, jak bezkresna fala,
Ze wszystkich więzów i pęt się wyzwala.

XIV.

Wracając do miasta przez wspomnianą dzielnicę Baklandet, odszukuję na jednej z ulic mieszkanie pana Jensa Thiss, dyrektora tutejszego muzeum, do którego miałem listy polecające.

Na szczęście, w trochę ciemnym kurytarzu nie mogę dojrzeć dzwonka i zamiast dzwonić, pukam. Czekać na jakikolwiek znak życia z wewnątrz, spoglądam machinalnie na zegarek i w te pędy zmykam ze schodów. Jest bowiem ni mniej, ni więcej tylko 11-ta godzina w nocy! O takiej porze nie nachodzi się nawet blizkich znajomych, a nie dopiero kogoś, kogo się po raz pierwszy w życiu ma zobaczyć i poznać. Chęć złożenia wizyty zaraz po odszukaniu adresata nie była jednak zwyczajnem roztargnieniem lub brakiem znajomości form. Prostu zbałamucił mnie przed chwilą jeszcze nad fiordem oglądany zachód słońca. Dla przybywających z południa i nieprzyzwyczajonych do 20-godzinnego dnia, nie łatwiejszego nad taką pomyłkę i zagapienie się. Widząc słońce wysoko na niebie, żyje się mimo spóźnionej godziny zwyczajnym, dziennym trybem i nie odczuwa zupełnie, że to już jest pora odpoczynku i wytchnienia. Tu i owdzie wprawdzie widać, że ludzie zapuszczają story i snują się po pokojach w negliżu, ale prosto czując na swych plecach gorące słońce, przypuszcza się, że to tylko przed skwarem ludzie się chronią, a o północy

spać nie myślą nawet. Tutejsi jednak znają się na figlach letniego słońca i o zwyczajnej porze padają Morfeuszowi w objęcia. Dla mnie, dopóki się do tego fenomenu nie przyzwyczaiłem, było formalnem niepodobieństwem rozbierać się i wsuwać pod kołdrę w biały dzień!

Wprawdzie Tronhjem leży jeszcze o sto mil od punktu, z którego całą dobę można oglądać słońce i dla Tronhjemu zachodzi ono na godzinę przed i w godzinę po północy, a wliczając chowanie się jego za zbocza dalekich gór, kryje się pod horyzontem na blisko trzy i pół godziny, mimo to jednakże sklep nieba i powietrze przesiąknięte jest takim samym blaskiem, jakim promienieje we dnie i niema się nawet wrażenia zmierzchu. Dość powiedzieć, że jeden z moich felietonów pisałem od godziny 10-ej do 3-ej rano w głębi mego pokoju w hotelu i że ani na chwilę nie czułem, aby to światło nużyło w jakikolwiek sposób oczy. Zato cały organizm cierpi trochę wskutek tych długich dni. Po pierwsze sen przychodzi bardzo trudno i rwąc się ciągle, mało przynosi odpoczynku, a po drugie, że i w naturze brak tego uspokojenia i wytchnienia, które noc gdzieindziej z sobą przynosi. Jeżeli jest piękna pogoda, to niema tu zupełnie chłodu wieczornego, niema orzeźwiającej rosy i cały prześwyt powietrzny drży tem samem tętnem, jakim oddychał za dnia.

Wegetacya fiordów, przypisywana li tylko ciepłym prądom Golfstromu, zawdzięcza swą niezwykłą bujność w równej mierze nieustannemu dniowi tutejszych stref.

Drzewa i kwiaty, obudzone nagle z ośmiomiesięcznego letargu, rozwijają się nad fiordami w przeciągu kilku dni kwietnia i dniem i nocą przerabiając kwas węglowy atmosfery na węglowodany, plasmę i chlorofil, dochodzą do wspaniałego rozwoju, który każdego turystę musi zastanowić. Nowożytnie cieplarnie

nie amerykańskie, w których prądami przerywanemi, ale niemniej także światłem elektrycznem, wypędzają w kilkudziesięciu godzinach warzywo lub kwiaty, nie są niczem innem, jak imitacją tych inspektów naturalnych, które sama natura tu stworzyła. Słynnym np. na punkcie swej flory jest Moldenford, nad którym miałem wkrótce spędzić cały tydzień. Leży on znacznie dalej na północ, aniżeli Petersburg, t. z. w pasie lichych lasów szpilkowych i brzozowych, a jednak wypełniony jest cały najbujniejszą roślinnością. Klon, jawor, wiaź, dąb i kasztan panują w nim nad całym tłumem drobniejszych krzewin, jak: polne róże, kaliny i leszczyna, a wszędzie, gdzie pójsć, łąki po pas, i to łąki zasypane formalnie krociami najcudniejszych kwiatów.

Że delikatne te rośliny nie wymarzają w zimie, o już jest wyłączną zasługą Golfstromu. On to jest tym kaloryferem, który ogrzewa całą zachodnią Norwegię, przynosząc ku jej brzegom afrykańskiem słońcem nasiąklą wodę, a przedewszystkiem powodując ciągle opady atmosferyczne, które są pierwszym warunkiem łagodnego klimatu.

Prawda, że takie Bergen np. ma rocznego opadu 1,835 milim. i że mieszkańcy jego nie wiedzą, co to dzień bez deszczu, ale też za to, to samo Bergen nie zna absolutnie większych mrozów, jak 10° Celsyusza, rzecz, która ze względu na północne tego miasta położenie, wydaje się czemś zupełnie nieprawdopodobnem.

Również zdziwi się niejeden z moich czytelników, skoro powiem, że wystarczyło mi wziąć po wodnej dwie słoneczne kąpiele w Moldenfordzie, ażeby mieć twarz koloru bajcowanego dębu i dostać na całym ciele słonecznej wysypki, która mi kilka nocy zatrzymała świadem nieznośnym.

I jeszcze jedno trzeba wziąć pod uwagę. Po drodze moja na fiordach trwała przez czerwiec i lipiec, t. j. w miesiącach, w których słońce nie operuje naj-

silniej; cóż więc dopiero musi się tam dziać w takim sierpniu, skoro ja już znalazłem tam skromnej temperatury 41° Celsyusza w cieniu! Powietrze wtenczas zdaje się całe wychodzić z rozpalonego pieca i nie sztuka uwędzić się na niem. Notuję to tu dla tych, którzy może chętnie wybraliby się w te kraje, a których odstrasza mylne wyobrażenie, że są one zimne, lub co najmniej chłodne.

Drugi dzień mego pobytu w Tronhjem upłynął mi sam nie wiem na czem.

Rano wymieniłem z rodzinnym krajem korespondencyę i kablową depeszę, potem musiałem się zająć zmianą pieniędzy, po południu przyglądałem się okolicznej ludności, która tu napłynęła na największy w roku jarmark, a wieczór zakończyłem znów wędrówką na Hladehammeren i długą rozmową z morzem. Idąc przez Baklandet, zapukałem znów do Thissa. Tym razem nie zastałem go w domu, więc na tabliczce, przybitej na drzwiach, napisałem mu, od kogo mam dla niego ukłony i uściski i pod tą dorywczą notatką podpisałem się imieniem i nazwiskiem.

Nieczytelność pisma i imię moje chrzestne było nazajutrz powodem komicznej sceny.

Około godziny 10-ej rano schodziłem właśnie schodami hotelowemi na dół, gdy oto wpadł mi w oko jakiś rosły mężczyzna, z żółtą, kozią bródką, obrzękłymi trochę powiekami i wystającą kością policzkową, który naradzał się półgłosem z portyerem i „kynopa” poglądał na mnie. Domyślałem się, że mówią o mnie i że jegomość w białej, pikowej kamizelce i jasnym kapeluszu z ogromnemi kresami jest Thissem, ale widoczne jego zakłopotanie bawi mnie do tego stopnia, że już chcę rozmawiających najspokojniej wyminąć. Nareszcie portyer z rozpaczliwym prawie gestem daremnego przekonywania chwytą mnie za odzież, a Thissa popycha ku mnie. Z wielkiem niedowierzaniem wyciąga się ku mnie koścista ręka przybysza,

który po wymianie nazwisk submituje mi się za swoje zachowanie. Imię moje Maciej wydało mu się Maryą i był święcie przekonany, że mu jego przyjaciel z Krakowa nasyła na kark jakąś *bas bleu*, którą on w duchu odrazu do czorta wysłał. Ztąd pochodziła jego niewiara w objaśnienia portyera i wahanie przywitania się ze mną.

Po tym komicznym *qui pro quo* ruszyliśmy ku muzeum w najserdeczniejszej komitywie. Zawodowe zajęcia i godziny biurowe nie pozwoliły memu towarzyszowi iść razem ze mną dla obejrzenia sławnej katedry Tronthjemskiej. Ułożyliśmy się więc, że sam pójdę zwiedzać tum, a jeżeli Viegeland, który objął renowację wszystkich rzeźb katedry będzie miał wolny czas i ochotę, to zabrawszy go z sobą zajdę po Thissa do muzeum i pójdziemy razem zjeść obiad.

Wchodząc na mały cmentarzyk, otaczający kościół, zmieniłem nieco ten plan. Przyszło mi na myśl, ażeby odrazu zwrócić się do Viegelanda i po zawarciu znajomości uzyskać w nim idealnego po katedrze przewodnika, który z głęboką znajomością sztuki i stylu gotyckiego nie pozwolił mi przeoczyć najmniejszego szczegółu architektonicznego. Odrazu też zwróciłem swe kroki ku przedniej części nawy, pokrytej płasko położonemi deskami i siatką rusztowań. Robotnik pilnujący biegu parowej stabilki, która stalową piłą tnę kwadraty chlorytowego łupku, objaśnia mnie, gdzie zastanę Viegelanda. Po kilku kondygnacjach rusztowań znajduję się przed klateczką, zbitą z tarcie i przyczepioną do sklepienia, jak jaskółcze gniazdo. Wchodzę, przedstawiam się i oświadczam, kto mnie tu przysyła i od kogo z kraju przywożę mu pozdrowienia. Młody człowiek w szarej bluzie, który nie słyszał jak drzwi lepianki uchyliłem, odwraca się do mnie i podaje rękę. Najuprzejmiejsze dusery w rodzaju takich np., że dumny jestem, iż mogę ze znakomitym artystą znajdować się w jego pracowni i wogóle zaznajomić się, przechodzą bez najmniejszego

wrażenia. Viegeland ledwo co dziesiąte słowo rozumie po niemiecku, obcowanie nasze jest tak dobrze, jak niemożliwe. Poprzestaję więc na kilku zdaniach, wystylizowanych w najbardziej utartych wyrażeniach, i przyglądam się człowiekowi, a potem jego pracom.

Dzieła Viegelanda, znane mi z reprodukcji w krakowskim „Życiu” i kilku rozprawek estetycznych, wyrobiły we mnie zupełnie inny obraz człowieka, niż ten, jakiego mi przedstawiła rzeczywistość. Mężczyzna średniego wzrostu, o silnie rozwiniętych barkach, piersi i karku, o włosach jasno-blond, bez śladu zarostu na okrągłej twarzy, z nosem wydatnym i nieco zaczerwienionym, z oczyma koloru turkusów i ogromnie ruchliwą żrenicą, która przy rozszerzeniu się nadaje oku wyraz bezdennej melancholii, a zarazem ognia i temperamentu — oto Viegeland. Gdyby nie te oczy, ani jeden rys twarzy nie zdradziłby w Viegelandzie wielkiego artysty. Każdy wziąłby go za to, czem istotnie do niedawna był — za majtką okrętowego, lub co najwyżej młodego pastora, któremu ascezyzm bynajmniej nie przypadł do smaku. Dopiero z chwilą, gdy ręka ujmie drewniany gładzik i w miękkiej glinie znacznie żłobić wgłębienia lub nakładać wypukłości — wtedy dopiero twarz tego *Schiffsjunge* rozpromienia się całą jakąś płomienną ideą, drga życiem, zapaleń, myślą ogromną i wtedy dopiero widać, że się ma przed sobą mistrza. Każda rzecz, która wychodzi z pod jego ręki, nosi na sobie piętno olbrzymiego talentu i artyzmu. Ściany małej izdebki jeżą się całe od góry do dołu maskaronami i różnemi potworami, którym — gdy zostaną wykute w kamieniu — przyjdzie dźwigać na sobie boczne rozety sklepień i podstawy łuków. Rzecz prosta, że wzór tych robót służy Viegelandowi szczątki dawnych ozdób, zachowane jako tako w katedrze, ale wiadomo, ile taka rekonstrukcja wymaga inteligencji, tudzież wprost fantazyi twórczej i jakim trzeba być artystą, aby nie wypaczyć średniowiecznego ducha, który stworzył ka-

mienne koronki i potwory, oparte na motywach zwierzęcych i stylizowane kwiaty takiej Notre Dame lub katedry kolońskiej. Viegeland w przeważnej ilości swych dzieł jest duchem nawskroś nowożytnym, a mimo to potrafił się dziwnie przystosować do gotyku, potrafił go intuicyjnie poprostu odczuć i to, co już zrobił i jeszcze wykona dla katedry thronthjemskiej, nie będzie się ideą swoją w niczem różniło od zabytków średniowiecznych.

Ta praca rekonstruktywna nuży jednak artystę, więc dla wytchnienia odrywa się od niej na chwilę do portretu lub oryginalnych, większych rzeźb. Podczas mej wizyty pracował właśnie nad biustem architekta, prowadzącego całą odbudowę katedry, a nadto nad jakąś płaskorzeźbą. Najlepszym też dotychczas dziełem Viegelanda jest *bas relief* „Piekło”, którego brązowy oryginał zakupiło Muzeum narodowe w Chrystyanii, a którego gipsowy odlew oglądałem w Tronthjemie. Jest to płaskorzeźba niezmiernie subtelnej dłuta. Technika jej posunięta jest do ostatecznych granic doskonałości. Nie techniczna jednak strona dzieła wzięci uwagę widza, jeno pomysł i idea utworu. Jest w nim coś, co patrzącego wali formalnie w łeb, coś, co nie pozwala oderwać oczu, jakaś potęga nieskończona, którą ma w sobie „Sąd ostateczny” Michała Anioła, poprostu jakieś technienie geniuszu.

XV.

Skróciłem, o ile możności, moją niemałą wizytę w pracowni artysty i zaprosiwszy go na wspólny obiad z Thissem, poszedłem obejrzeć katedrę. Jest to najwspanialszy kościół skandynawskiej północy, związany ściśle z dziejami samego miasta.

Do połowy XVI-go wieku zwane ono było podwójnem imieniem „Nidaros” albo „Kaupangr i Thrandheims” (targowica w Tronthjem), która to druga nazwa skróciła się do ostatniego tylko wyrazu i wyparła pierwszą. Podobnie jak Upsala w Szwecyi było Tronthjem kolebką państwa norweskiego. Tu zgromadzenie ludowe wybierało króla i tu ich na „Bratören”¹⁾ koronowano. W roku 996 Olaf Tryggvason zbudował na południe od „Bratören” swój dwór królewski i kościół pod wezwaniem św. Klemensa. Wkrótce atoli dzieło Tryggvasona niszczało. W bitwie pod Solderi w 1000 m roku padł Tryggvason, otoczony przemożnemi siłami duńskiego Svena, szwedzkiego Olafa Erikssona i norweskiego Eiryka, syna Jarla Hakona, który dla odzyskania tronu, wrogów na ojczyznę sprowadził i kraj cały ze sprzymierzeńcami rozdrapał, znajdując tu i owdzie wśród Norwegów po-

¹⁾ „Bratören” — nazwa pewnej części miasta, położonej na wzgórzu.

parcie za usilne obstawanie przy poganizmie. Społeczny i religijny porządek w kraju zaprowadził dopiero Olaf św. Pochodząc z rodu Harald Pięknolosego, puścił się Olaf we wczesnej młodości na wyprawy wojenne i w Anglii, czy też w Normandii, przyjął chrzest. Za powrotem do Norwegii wystąpił z pretensjami do tronu i wsparty przez królików górskich okolic, pozyskał dla siebie wkrótce ogólne uznanie. Podjąwszy wszechstronną reformę państwa i przeprowadzając ją z niezmierną, żelazną stanowczością, naraził sobie atoli poddanych do tego stopnia, że kiedy Kanut Wielki wkroczył z wojskami do Norwegii, większość pułków norweskich opuściła swego króla i pozwoliła mu zginąć w bitwie pod Stiklestad dnia 29 lipca 1030 r.

Wnet jednakże powstała w całym kraju reakcja przeciw Duńczykom, zabitego Olafa uznano za męczennika i na zgromadzeniu stanów świętym ogłoszono. Ciało jego przewieziono do Tronthjem i zrazu pochowano, a potem złożono do skrzyni nad głównym ołtarzem w kościele św. Klemensa, gdzie też wkrótce zaczęły napływać wielotysięczne tłumy pobożnych i wytworzył się ważny w swych skutkach dla Tronthjemu kult św. Olafa. Dzięki niemu to powstało tu obok katedry 14 kościołów i 5 klasztorów męskich i żeńskich, a miasto samo zaczęło się wspaniale rozwijać. Ustawiczne jednak wojny domowe, zarazy i pożary niszczyły je systematycznie, aż wreszcie ostateczny cios zadała mu reformacja, kładąc tamę odwiecznym, świętym pielgrzymkom pątników.

Największy też upadek miasta przypada na koniec XVIII-go wieku i dopiero pod wpływem nowożytnych czynników, jak przemysł i handel, zaczyna się Tronthjem od początku naszego stulecia stale rozwijać. Gdy w 1814 r. na zgromadzeniu stanów w Eidsvold zawierano unię ze Szwecją, jednym z postulatów Norwegii było odnowienie katedry w Tronthjem, jako miejsca koronacyjnego królów norweskich. Sporo

jednak czasu minęło, zanim zabrano się istotnie do odbudowy wspaniałego zabytku średniowiecznego gotyku i właściwe roboty podjęto dopiero w 1869 roku, pod zdolnym i wytrawnym kierownictwem inżyniera Christi. Dzieje samejże katedry dadzą się zamknąć w kilku zdaniach. Olaf Kyrre rzucił jej pierwsze podwaliny, osłaniając drewnianą budowlą grób św. Olafa. Po ufundowaniu w Trontjem biskupstwa w 1151 r., rozszerzono znacznie przybytek Pański, dając mu zarazem fundament i ściany kamienne. Trzeci z rzędu arcybiskup tronthjemski, Eisteinn, powróciwszy z Anglii po trzyletnim wygnaniu, dobudował do wieży wchodowej dwa boczne skrzydła, a następcą jego wznosił własnym sumptem przednią część nawy, ze wspaniałym chórem i organami. Wskutek takiego powolnego budowania się gmachu powstała całość w formie krzyża, w środku którego wznosi się wieża i cztery ramiona naw łączy z sobą.

W szczycie dłuższego ramienia tego krzyża, to jest po przeciwległej stronie chóru, znajduje się trumna św. Olafa, a nad nią i wśród niej pięknej roboty ośmiobok. Tu, posługując się wymarzoną na ten cel materią (niebieski łupek chlorytowy z okolic Tronthjemu i żółto-zielonkawy marmur z Almeningen) rozsnął cały blask dekoracyjny przepyszny gotyk, z reminiscencyami romańskimi, jedno przedziwne skojarzenie klasycznego stylu gockiego z bujną rozigraną fantazją. Niema tu literalnie jednego strzępka łuku, maswerku, sklepienia lub kapitelu, żeby ten strzępek nie dźwigał na sobie poważnej, ale lekkiej, powiewnej niemal ornamentyki, o tysięcznych, nigdzie więcej nie powtarzających się motywach, które całej świątyni nadają piętno dzieła sztuki, wypracowanego w najdrobniejszych szczegółach.

Całość, na której znać wybitne wpływy angielskiego gotyku, o liniach niezmiernie prostych i harmonijnych, sprawia wrażenie jakiegoś smętnego marzenia, zakutego w kamień, jakiegoś rozmodlenia wiel-

kiego poety, który pomiędzy zwężłe zdania „Ojcie nasz” wplata własne swoje niebolotne natchnienia święte, czyste i tęskne.

Znam tylko z ilustracyi sławne katedry w Reims i Kolonii, ale z porównania ich z katedrą tronthjemską odniosłem wrażenie, że w tamtych budowlach jest już ogromnie dużo maniery, podczas gdy tu prostota z kunsztem i trzeźwość z fantazyą zespoliły się tak doskonale i tak harmonijnie, że jest to chyba obok greckich świątyń najwspanialszy zabytek budownictwa na świecie wogóle.

W XI i XII wieku służyła ta świątynia za miejsce wiecznego spoczynku królom norweskim, których grobowce atoli nie ocalały z pożaru 1531 roku i daremnie tu ich szukać. Później był to kościół koronacyjny, a jak już nadmieniałem, jest nim i dziś od czasu unii ze Szwecyą.

Karol XIV Jan koronował się w nim w 1818 r., Karol XV w 1860, a obecnie panujący Oskar II w r. 1873. Że Norwegia zastrzegła sobie w konweneyi unijnej koronację w Tronthjem, a nie w Chrystyanii, to okazało się zrozumiałem, skoro weźmiemy pod uwagę, że katedra św. Olafa otoczona jest w Norwegii pewną mistyczną wiarą.

Naród, spojrzawszy wstecz na swe dzieje, nabrał przekonania, że koleje jego, jego dola i niedola związane są z losami tej katedry. Ilekroć nieszczęście waliło się na kraj, zawsze wtedy klęska jakaś elementarna niszczyła tum świąty.

Unia ze Szwecyą natchnęła naród myślą odnowienia go i dziś krzają się tu wszyscy około odbudowy w nadziei, że wykończą dzieło w 1914 roku, w stuletnią rocznicę unii, która w przekonaniu bardzo wielu, będzie zarazem ostatnim jej dniem. Jeżeli się uda dzieło restauracyi istotnie doprowadzić do skutku w oznaczonym czasie, można być pewnym, że zerwanie unii rzeczywiście nastąpi, bo z równoczesności tych dwóch faktów zabobonny ogół będzie wysnu-

wał jak najlepsze wnioski dla samoistności politycznej Norwegii i zerwać się unii nie zawaha.

Dla chcących się zapoznać bliżej z dziejami i architekturą katedry tronthjemski-j, nadmieniam tu mimochodem, że istnieją o niej dwa wyczerpujące dzieła: jedno Minutoli'ego po niemiecku i drugie P. A. Muncha w języku norweskim. Rozmiary ich nie pozwoliły mi, niestety, korzystać tu z nich i dlatego porzestaje na krótkiej notatce, aby zwrócić może uwagę naszych architektów na ten wspaniały zabytek wczesnego gotyku, mimo wpływów romańskich i angielskich, zachowanego w bezprzykładnej czystości.

Obejrzawszy wszystko, co tylko było do obejrzenia i zakupiwszy fotografie i *press papier*, z kamieni usuniętych ze starej budowy, a na wzór ornamentów samejże katedry rzeźbionych, ruszyłem do muzeum artystyczno-przemysłowego po Thiessa. Pokazał mi w niem wszystko godne widzenia; między innemi kilka japońskich bronzów z pozostałości po braciach Goncourt i nierównie cenniejsze majoliki roboty Carrier'a, jedyne wogóle, jakie są dla szerszej publiczności dostępne.

Wiadomo bowiem, że malarz ten i zarazem rzeźbiarz, zwróciwszy się do ceramiki, tworzył w niej przepyszne rzeczy w kształtach i zabarwieniu, które sam niezmiernie kunsztowną glazurą pociągał i że cały swój nieliczny zbiór powierzył przyjacielowi, a raczej poprostu darował.

Paryżki Louvre nawet nie potrafił z rąk dzisiejszego właściciela odkupić dla swych zbiorów ani jednego kawałka, a że Thiss pozyskał dla tronthjemskiego muzeum kilka wazek, zawdzięcza to tylko przypadkowi i chwili dobrego humoru owego spadkobiercy, który oddał bezinteresownie kilka dublonów tronthjemskiemu muzeum z tej racyi, że jest to najdalej na północ w Europie wysunięta placówka dla artystycznego przemysłu.

Obejrzawszy jeszcze mnóstwo ciekawych przed-

miotów, odnoszących się do etnografii północnych kra-
in, ruszyliśmy w dwójkę na obiad.

Wkrótce potem zjawił się i Viegeland. *Pladder* nasz w trójkę, rozpoczęty około 2-ej godziny z południa, przeciągnął się do późnego wieczora, a wśród niego przekonałem się, że: 1) Norwegia ma dobrą starke, 2) nie zbywa jej na znośnem piwie, 3) importuje tanie i rzetelne wina, 4) że szampan nie należy tu do zbytku—a dalej, że polska gościnność bynajmniej nie przewyższa norweskiej, że Polak ledwo może dotrzymać Norwegowi w piciu, że w serdecznej kompanii można sto mil od kraju poczuć się jak w domu, że dopóty jest człękowi przy szklance ponczu dobrze, dopóki nie musi biegnąć na pokład statku, a nadto mnóstwo całych innych jeszcze rzeczy, zupełnie poważnych, o których opowiem w następnym rozdziale.

XVI.

Skol Thiss!—*skol* Viegeland!—*skol*¹⁾ Polska! oto trzy okrzyki, które jak nie czerwona, przewijały się przez cały ciąg wspólnej pogawędki. Mówiliśmy *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, ale najlepiej określały ją piosenka kujawska: „a ja takie mam, a ty takie masz, ja ci takie dam, ty mi takie dasz,”—słowem, o ile to tylko w tak krótkim czasie było możliwem, ja powiedziałem im wszystko o Polsce i Polakach, a wzamian za to dostałem od nich języka o Norwegii, kraju i ludziach i wiadomości te rozjaśniły mi odrazu całe polityczne życie Norwegii, zwłaszcza stosunek jej do Szwecyi.

Nie zawadzi tu w kilku zdaniach przypomnieć dziejów Norwegii. W najdawniejszych czasach rozpadła się ona na mniejsze i większe dystrykty, rządzone przez rozmaitych królów i królików, z których rozmaici w różnych czasach dochodzili do supremacji nad resztą udzielnych władcyków. Czasy te odpowiadają w naszych dziejach epoce Polski podziałowej—a więc jest to okres tworzenia się dopiero państwa, okres kłótni „o królewską brodę,” zażartych wojen

¹⁾ *Skol* po szwedzku i norwesku znaczy to samo, co niemieckie *prosit!* lub nasze: *zdrów!* — Pijąc w kompanii nie zbliża się szklanki do ust bez tego okrzyku.

domowych i zamieszek, decydujący jednak o całej przyszłości kraju i narodu.

W czasach tych bowiem, wskutek bardzo nielicznej ludności Norwegii wogóle, każdy z władcyków owych potrzebował w razie wojny i posługiwał się w niej istotnie wszystkimi bez wyjątku poddanymi, a powszechna ta powinność wojskowa nie dopuściła do powstania kasty wojowników, to jest szlachty, w dalszej zaś konsekwencji zapobiegła wytworzeniu się systemu feodalnego, którego Norwegia, z wyjątkiem pozornego lennictwa za czasów duńskich, nigdy nie miała i nie znała.

Na podstawie dynastyczno-politycznych kombinacji, zawarła Norwegia unię kalmarską ze Szwecją i Danią. Związek ten nie był ani szczęśliwy, ani trwały. Okrucieństwa Chrystyana II duńskiego, którego strasznym objawem była rzeź sztokholmska, oderwało Szwecję od trójprzymierza w sto dwadzieścia lat po dojściu unii do skutku i państwo to odtąd pod Wazami samodzielny wiodło żywot. Norwegia pozostała wprawdzie nadal w związku z Danią, ale mając zastrzeżoną nietykalność swej konstytucji, zachowała w stosunku do absolutystycznie rządzonej Danii całą swą odrębność, a oddzielona morzem i zawiadywana przez namiestników z ramienia królów duńskich, rozwijała się prawie że samoistnie.

Prawda, że kwestya wojen duńskich odbijała się w równej mierze na skórze Norwegów — prawda, że reformacya Danii krwawo zostawiła po sobie ślady i w Norwegii, zaszczerpiona tam przemocą przez wolę monarchy — prawda, że język norweski coraz więcej musiał przystosowywać się do języka duńskiego; ale niemniej faktem jest, że w ciągu kilku wieków, przez które Norwegia jako taka, była do pewnego stopnia lennem Danii, ludność Norwegii potroiła się, ład wewnętrzny wzmocnił, prawodawstwo dojrzało, a handel i przemysł rozwinął.

Dość powiedzieć, że flota norweska w przeciągu

jednego wieku od 1660 do 1767 r. wzrosła z 50 na 1,150 okrętów, a siła ekonomiczna niemniej wzmogła się ogromnie, wskutek... macoszego traktowania Norwegii przez Danię.

Powyższe zdanie brzmi paradoksalnie, a jednak odpowiada ono rzeczywistości.

Główną „uciechę,” jaką mieli królowie duńscy, było to, że tytułowali się zarazem królami norweskimi, ale państwo duńskie nie mogło z tej symbiozy wynieść dla siebie żadnej korzyści. W razie wojny mniej przecież mogła Norwegia wesprzeć Danię, niż odwrotnie; w czasie pokoju zaś nazywało się, że Norwegia jest prawie bezludną, ekonomicznie słabą, od siedziby rządu odciętą morzem i posiadającą większą nierównie od Danii flotę, a więc wzbudzającą respekt, a od całego społeczeństwa duńskiego odgraniczona nietykalnym murem odrębnej, a zaprzysiężonej konstytucji, której najbliższy paragraf nie dałby się pominąć bez natychmiastowego zbrojnego oporu i skwitowania z przyjaźni.

Ztąd też związek ten Danii z Norwegią, jakkolwiek luźny i polegający prawie wyłącznie na unii personalnej, był korzystnym jedynie dla tej ostatniej i dopóty przez nią utrzymywanym, dopóki nie przyszło go bardzo drogo opłacić.

Probierzem przyjaźni stały się wojny napoleońskie. Kiedy Dania w przymierzu z Francją wypowiedziała wojnę Anglii i Szwecji, wtedy Anglicy zniszczyli doszczętnie flotę duńsko-norweską i położyli poprostu kres całemu handlowi obudwu państw.

Lekkomyślne puszczenie w obieg przez Fryderyka VI-go niepokrytych zapasami kasowymi papierów kasowych, ściągnęło i na Norwegię zupełne bankructwo. Gdy zaś równocześnie idee o *droit de l'homme* przedostały się na północ i wzmocniwszy w Norwegach poczucie narodowe, buntować zaczęły naród przeciw przymierz z absolutną Danią, skorzystano ze zbiegu okoliczności (że mianowicie Szwecya obrała

sobie królem Chrystyana Augusta v. Augustenburg, ówczesnego namiestnika Norwegii z ramienia Danii) i wymówiwszy posłuszeństwo Danii, przystąpiono na podstawie pokoju w Kilonii do połączenia się ze Szwecją. Odtąd, to jest od roku 1814, oba narody skandynawskiego półwyspu tworzą jedną polityczną całość, przynajmniej na zewnątrz. O ile zaś to przymierze jest trwałe, poucza nas najlepiej dzisiejsze obu państw stosunki.

Zrazu, aż niemal do ostatnich czasów, panowała zupełna zgoda między narodami. Norwegia miała zapewniony samodzielny rozwój i korzystając z niego, wyrastała powoli na coraz lepszy organizm państwowy. Były wprawdzie ciągle pewne niesnaski, ale nie sięgały one w głąb życia politycznego i ograniczały się do traktowania nieco pogardliwego Norwegii przez Szwecję. Szwecya bowiem miała już za sobą kilkaset lat samodzielnego żywota, w którym zabłysnęła takimi okresami, jak panowanie Gustawa Adolfa lub Karola XII, miała pewną tradycję historyczną i wzorowany na reszcie państw europejskich system społeczny, słowem nie bez pewnej racji uważała się za starszą, mędrszą i dojrzałą od Norwegii i traktowała ją jako swą pupilkę.

Dopóki królowie szwedzcy bardzo chłodnie z Norwegami zachowywali stosunki, dopóty wszystko było w porządku i Norwegia nie miała żadnych do sprzymierzonego państwa uroszczeń. Z chwilą atoli, gdy wstąpił na tron dzisiejszy Oskar II i niejednokrotnie objawił żywą dla Norwegii sympatię, zaczęli Norwegowie czuć się co najmniej tyle samo wartymi, co i Szwedzi, i objawiać niejednokrotnie, że protekcyjnalny ton Szwecyi względem nich jest zupełnie nieuzasadniony.

Ambicya narodu czekała tylko sposobności, aby znaleźć dla siebie dobitny wyraz i niedługo sposobność taką znalazła.

Kiedy komitet wystawy paryżkiej zaprosił do

wzięcia w niej udziału wszystkie państwa europejskie, wtenczas za namową i wpływem cesarza Wilhelma król Oskar II przyrzekł iść z Niemcami ręką w rękę i nie obsyłać wystawy francuskiej. Izba wyższa i niższa szwedzka zastosowała się do woli monarszej i powzięła odpowiednie postanowienia.

Norwegia jednakże oświadczyła uchwałami swego stortingu, że weźmie udział w wystawie światowej i zwróciła się do Löwenhaupta, ambasadora złączonych królestw we Francyi, z żądaniem, aby tenże zastępował jej interesy w Komitecie wystawy.

Natenczas Löwenhaupt odmówił wręcz zajęcia się tą sprawą, a ten opór jego był pierwszym początkiem jawnej niemal walki stortingu ze szwedzkim reichstagem.

Skoro bowiem wspólny reprezentant państw unii na zewnątrz nie chciał jednego z nich w tak ważnej sprawie zastąpić, tedy zastępstwo takie jest w mniemaniu Norwegów iluzoryczne i bez żadnej dla kraju wartości. Dlatego najbliższe posiedzenie stortingu zażądało osobnego dla Norwegii ministra spraw zewnętrznych.

Równocześnie podniósł jeden z członków lewicy norweskiej sprawę flagi narodowej. Skoro Norwegia zmuszona jest przez postępowanie Szwecyi do utrzymania oddzielnego ministra, to niechże jej będzie wolno i na morzu zaznaczyć swą odrębność i posługiwać się nie unijną flagą, ale wyłącznie norweską, a żądanie to poparte zostało tem natarczywiew, że flota norweska jest wielokrotnie większą od szwedzkiej i zajmuje trzecie miejsce po flocie angielskiej i amerykańskiej. Żądania oddzielnego ministra dla spraw zewnętrznych nie udało się dla technicznych trudności przeprowadzić tak prędko; rzecz przeto została w zawieszeniu i jest dotąd najważniejszym postulatem radykalnej partii stortingu; sprawa zaś flagi, uchwalona zasadniczo przez wspólne delegacje, nie doczekała się

dotąd zatwierdzenia kanclerza państwa i czwarty już z rządu minister woli się raczej, przyciśnięty do muru, podać do dymisyi, niż brać na siebie *odium* całego narodu szwedzkiego, że za jego to rządów uczyniono dla Norwegii takie ustępstwo.

Prędzej, czy później atoli domagania się Norwegii będą zaspokojone, a naród, zdobywszy flagę, wy może niezadługo i oddzielne ministerjum spraw zagranicznych.

W obecnej fazie zatargu, trzy wymienione sprawy są kością niezgody pomiędzy sprzymierzeńcami i pozornie może się niejednemu zdawać, że cała ta sprawa jest *trop de bruit pour une omelette*. Tak jednak, nie jest.

Punkty wymienione przezemnie są tylko zewnętrznym znakiem daleko głębiej tkwiącego antagonizmu. Wspomniałem już, że dzięki odmiennym kolejom dziejowym Szwecyi i Norwegii, różnią się one między sobą zasadniczo wewnętrznym ustrojem. Szwecya zachowała ustrój arystokratyczny, podczas gdy Norwegia nie ma w sobie śladu feodalnych czasów. Ztąd pewna tradycja narodowo-państwowa w Szwecyi, typowe zaś parweniuszostwo Norwegii, ztąd pewien ton protekcyjonalny Szweda wobec Norwega, w Norwegii zaś ciągle podrażnienie żółci, silniejsze z dnia na dzień w miarę dojrzewania społeczeństwa i państwa.

Radykalni chcąc szerokie warstwy wzburzyć, wymyślili w tym celu wybornego „straszaka.” Utrzymują oni, że jeżeli Szwecya się zbroi w ostatnich czasach coraz bardziej, to jedynym celem jej jest zbrojne zawładnięcie Norwegią—dlatego *caveant consules!*... Norwegia w odpowiedzi nie miała nic pilniejszego, jak również uzbroić kilkanaście pułków i zbudować wojenną flotę i oto oba państwa podobne są dziś do podróżnych, którym w gospodzie zaproponowano spanie w jednym łóżku, a którzy ciągle zapewniając się nawzajem, że wybornie im będzie razem, bo cie-

plej, na jedną chwilę nie zamykają powiek i ściskają pod koldrą rewolwer.

Pytałem Thissa i Viegelanda, czy nie obawiają się, ażeby w razie zawikłań europejskich którekolwiek z państw nie położyło na poważnionych swej zwyciężkiej ręki.

Nie, nie obawiamy się tego, objaśniono mnie. Z chwilą, kiedy Szwecya straci raz na zawsze nieuzasadnione zresztą przekonanie, że terytoryalnie sięga po za półwysep i ujrzy się ograniczoną do rozmiarów określonych dzisiejszymi granicami politycznymi, straci trochę swej buty i pożycie z nią stanie się możliwe. Nam o nic innego nie chodzi, jak tylko o wykorzenienie w Szwecyi poczucia jakiejś wyższości nad nami, przy którym Szwecya upoczywie obsta-je i prędzej lub później uda się nam wybić jej z głowy to nieuzasadnione wyobrażenie, choćby za cenę zerwania unii. Z drugiej jednak strony możesz pan być pewnym, że wobec zewnętrznego nieprzyjaciela, czy on przyjdzie ze wschodu, czy z południa, wszelkie zatargi ucichęłyby odrazu,

My, od żebraka do milionera wiemy, co to jest wolność—i w jej obronie padniemy pierwaj wszyscy, zanimbyśmy mieli z niej cośkolwiek uronić. Dlatego patrzymy w przyszłość spokojnie; czując się zaś skrzepowani nią, dokończymy wszelkich starań, aby te więzy zerwać i dać Bóg, zerwiemy je wkrótce, lub zmusimy sojuszników do uważania nas za równych sobie.

Tak się przedstawia dzisiejszy zatarg szwedzko-norweski;—niedaleka przyszłość musi go tak, czy owak rozwiązać.

XVII.

„O! nie pytajcie wy mnie, gwiazdy złote!...”
w jaki sposób dostałem się na pokład „Tordenskjölda”.
Pamiętam tylko, że uściskałem się z obu Norwegami
„z dubeltówki”, potem zapłaciłem w hotelu rachunek
z miną tak uprzejmą, z jaką się nigdy rachunków nie
płaci. a wreszcie dobrze już nie wiedząc kiedy, zna-
lażem się na pokładzie parowca, na którym po obu
stronach stało mnóstwo ludzi i powiewało chustkami
białymi. Myśl moja długo jeszcze przestawała z po-
żegnanyimi przyjaciółmi; miałem ich pełne oczy i ser-
ce, rozmawiałem jeszcze z nimi i wołałem cichutko:
skol, równocześnie jednakże słyszałem najwyraźniej
w mózgu kołyszący się słodko refren: dlaczego Tron-
thjem ma faliste i rozhajdane bruki? To bowiem
było ostatnie wrażenie, jakie z pobytu w tem mieście
wyniosłem, i nie zmieniło się ono w mej pamięci do-
póty, aż wypłynęliśmy na pełne morze, a ostry, słony
i zimny powiew nadał myśleniu krzepkość i jasność.

Po zachodzie słońca poczuliliśmy na statku fale
Atlantyku, które chwiały nami lekko i miękko. Te
chwile wieczornej zorzy są nieporównanie piękne.
Niebo złote i morze całe złote, wokół przestrzeń bez-
mierna, po której wiatr chodzi i śpiewa:

Już miedziany słońca dysk
Wrył się między skiby fal,
Jeszcze jeden krótki błysk —
I wnet zmierzchnie bliż i dal.

Na odmęcie tu i tam
Wiatr swój cichy znaczy chód
Smugą jasnych, ciemnych plam —
I wnet uśnie obszar wód.

Na odmęcie tam i tu
Pierwsze gwiazdy skrzą się już —
Czarnoskrzydły anioł snu
Nakrył ciszą bezmiar mór.

Na odmęcie krucha łódź...
Kędy bieg jej? droga zkąd?
Jedno: stać jej, czy toń pruć —
Wszak ululą stały łąd.

Tak mniej więcej nucił wichry w plusku fal, ale
oczywiście kłamał. Wystarczy bowiem rzucić okiem
ku wschodowi, aby się przekonać, że najwyżej w odle-
głości mili czernieją skaliste brzegi lądu i że on jest
właśnie stałym, a tylko my czemś przemijającym,
czemś, co się posuwa coraz dalej i że w gruncie rze-
czy nie jest nam bynajmniej obojętne: czy mileczy,
czy też nas popycha ku południowi. Ta zaś pracuje
nie żartem. Woda perli się koło niej i białym ogo-
nem za nami się wlecze. Widok to jednostajny, lecz
zawsze zajmujący.

Nikt też nie myśli o spaniu; wszystkie ławki
i krzesła zajęte przez gromadę mężczyzn i kilka re-
prezentantek płci nadobnej. W zachowaniu ich dużo
swobody, języki obrotne, humory świetne — czuć, że to
jakaś kompania zgrana i doskonale się znająca. Zra-
zu biorę ich za rodzinę, wracającą z Nordcapu, która
opowiada sobie wzajemnie wrażenia podróży; po chwili
atoli, zawarłszy znajomość z jednym z jej członków,
dowiaduję się, że to trupa teatru „Vasa” ze Sztokhol-
mu, która po występach w Tronthjem zmierza do
Bergen, aby bogatym tamtejszym kupcom wyłuskać
trochę grosza.

Uprzejmy „schwarzcharakter” pokazuje mi „pierw-
szą naiwną”. Przemyka mi wprawdzie przez głowę:
„Mazurkiewicz, bój się Boga!” — ale ponieważ tkwi

niezaprzeczone fatum w „pierwszych naiwnych”, że mianowicie nie należy ich nigdy brać naiwnie, więc każe się całej bandzie przedstawić i już razem z nimi odprawiam *pladder*.

Nagle w ciszy nocnej, małej jedynie szumem fal, odzywają się drżące tony gitary i piękny tenorowy głos zaczyna nucić najrozmaitsze piosenki i pieśni. Przeważa w nich wprawdzie język włoski i francuski, ale kiedy niekiedy uderzają o moje ucho znane mi melodye Griega i Bellmanna. Tym ostatnim największą poświęcam uwagę. Nikt może nie zaklął tak duszy szwedzkiej w słowa i melodyę, jak ten narodowy poeta-improvizator. Tworzył ich bardzo wiele, niemal do wszystkich swoich liryków dorobił śpiew i mnóstwo pieśni ludowych ujął w poprawną formę harmonijną. Głównym znamieniem pieśni szwedzkiej, a zwłaszcza Bellmannowskiej, jest ogromna ich melodyjność; Wpadają w ucho łatwo i pozostają w niem na długo. Charakter ich dwojaki: jedne są wesołe, jasne i otwarte, drugie noszą w sobie głęboki smutek—coś z poszumu jodeł i świerków, uginających się pod brzemieniem śniegu, coś z poświstu wichru i powłóczystości mgieł mokrych, rozdzierających się na skalnych krawędziach.

Nadto czytelnicy moi z niemałym dowiedzą się zdziwieniem, że wśród najpopularniejszych i rdzennie swojskich pieśni szwedzkich znajdują się pieśni, prowadzone najdokładniej w tempie mazura, poloneza i kołomyjki, a nawet tu i owdzie dostrzegłem ustępy, które zarywały naszym kujawiakiem i oberkiem. Spostrzeżenie to jednak nie zdziwi chyba uważnych słuchaczy Griega. Grieg, jakkolwiek Norweg, ma wiele punktów stycznych z muzyką szwedzką i w suitach jego zauważyć można tu i owdzie ustępy, zbliżone bardzo do kolend, krakowiaków i kołomyjek.

Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, noc całą słuchałem tych pieśni, nuconych bardzo pięknym głosem i niejednokrotnie wyrażałem swą wdzięczność

panu Knutowi Nyblom za ich śliczną interpretację. Widząc moje zajęcie i radość, nie odkładał gitary, zwłaszcza, że całe towarzystwo postanowiło doczekać wschodu słońca. W tej chwili właśnie słońce wyjrzało nad horyzont, a za całą podziękę z mej strony dla śpiewaka było ukazanie go ręką—gest, który całe towarzystwo zrozumiało i który był niejako stwierdzeniem słów pieśni, czy proroctwem natury. Może się to wydać śmiesznem i sentymentalnem, niemniej jednak faktem jest, że ten moment wschodu słońca wśród takich okoliczności był poprostu chwilą miśliczną i że go tak nietylko ja, ale i całe towarzystwo przyjęło. W bardzo poważnym nastroju powiedzieliśmy sobie dobranoc i każdy szedł odszukać swą koję¹⁾ i wypocząć.

Około godziny 8-ej rano obudził mnie hałas stabilki na pokładzie. Wybiegam z fumoiru, gdzie udało mi się znaleźć wolną kanapę i jakotako przespać, i rozglądam się po świetle. Jesteśmy w Christiansand, małej miejscinie nadmorskiej, ale ważnej bardzo jako targowisko i placówka rybacka. Kilkotysięczna ludność jej trudni się prawie wyłącznie połowem i przyprawą ryb. Aby się o tem przekonać, nie potrzeba bynajmniej wysiadać na brzeg, Mikroskopijny fiord i całe powietrze wypełnione jest okropnym, nie do zniesienia wprost fetorem świeżej, wędzonej i nadpsutej ryby. Formalnie ma się odczucie, że całe powietrze jest zatrute wyziewem, przy którym *assafoetida* jest przemiłym zapachem. A co gorsza, nietylko powietrze, ale wszystkie przedmioty nasiąkłe są lub nasiakają w lot tym odorem i mimo doskwierającego głodu niepodobna do ust wziąć jakiegokolwiek pokarmu. Rezygnuje też człowiek z zapłaconego z góry śniadania i prosi Boga, żeby jak najprędzej wypłynąć na pełne morze.

¹⁾ Koją — łóżko w kajucie.

Życzenie to spełnia się wkrótce. Po niecałej godzinie przystanku mijamy skalne złomy, otaczające port, i znów jesteśmy na morzu, ale już nie wśród szerów i rozsypanych raf, jeno w miejscu, gdzie Atlantyk przychodzi wprost do brzegów Norwegii i rozbija się na nim w piany srebrne. Kobiety i mężczyźni potrosze zaczynają czuć mdłości i cała tak wesoła wczoraj kompania zamienia się w chorych, a pokład statku w lazaret. Nawet „pierwsza naiwna” usuwa się zawstydzona gdzieś w okolice szruby i uporczywie pogląda w toń...

Ku ogólnemu zadowoleniu, kawałek drogi, nieoszańcowanej szerami, oraz rafami, skończył się wkrótce i znów wpłynęliśmy na ciche wody. Zanim dopłyniemy do najbliższej stacyi, do Molde, możemy się z całą rozkoszą oddać temu słodkiemu lenistwu, do którego pobyt na statku zmusza pasażerów. W płóciennem angielskiem krześle siedzi sobie młody człowiek, pół drzemiąc, pół czuwając, i albo liczy mewy, krążące nad tyłem statku, albo śledzi fale, czy się na nich nie ukaże gromadka brązowych kaczek, albo nie załśni pod słońce ślizki grzbiet rekina, których tu nie brak. Najwięcej atoli pociąga ku sobie oczy brzeg lądu, najeżony skałami, które tu i owdzie przerastają w wysokie już góry i szczyty, czernią swą dziwnie załobnie odcinające się od pogodnego błękitu. Już to trzeba przyznać, że nie ma chyba kraju, nad którymby tyle melancholii w powietrzu wisiało, co nad Norwegią. Zwłaszcza wśród nocy zmierzchowych nad fiordami przestwór cały zda się być napojony beźmierną tęsknicą i smutkiem, szalonym, nie dającym się wyśłowić smutkiem.

Na razie jednakże cały Tordenskjöld rozbrzmiewa wesołym gwarem, śpiewem i śmiechem. Od czasu, gdyśmy minęli burzliwą falę, barometr humorów poszedł w górę. Za godzinę wpłyniemy w Moldenfiord, w jeden z najwspanialszych fiordów Norwegii. Nic wszakże nie zdradza jego bliskości. Brzeg jak

brzeg, pozałamywany i pogięty, zdaje się biec na daleko nieprzerwanie. Ale kilka jeszcze chwil i oto mijamy rozsypane małe wysepki i nagłym ruchem steru wciśkamy w wodny korytarz pomiędzy skałami, nie szerzy nad 100 metrów. Ściany jego powoli, ale stale rozszerzają się, przez wylot gardzieli widne w dali wysokie, ośnieżone szczyty. Nagle wody rozlewają się po lewej ręce w ogromne, nieprzejrzone okiem jezioro i nasz Tordenskjöld, gwiżdżąc jak opętany, przecina je wpoprzek i sapiąc, płynie ku białym zabudowaniom, widnym zdaleka wśród zieleni.

Zrazu, choć mi się oczy z orbit wydzierają do tych krzesanie czarnych, żlebów, przełęcz i turni, wmawiam w siebie, że Molde i jego okolica mniej piękną jest od Hordangeru i że nie chcę się tutaj dłużej zatrzymywać, lecz pojedę wprost do Bergen i tam tylko będę wycieczkował, ale w miarę, jak zagłębialiśmy się w fiord, wszelkie rozumowanie taje prosto wobec piękności okolicy, wszelkie przedsięwzięte plany szeregują mi się pod innym zupełnie kątem i wobec obawy, że w Bergen i jego okolicy będzie niewątpliwie lało, chwytam moje manatki i wysiadam na drewnianym pomoście, przed hotelem Aleksandra. Moi towarzysze podróży zazdroszczą mi tej swobody rozporządzania sobą, a Nyblom mianuje mnie na pożegnanie najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Przyglądam się w około z miną największego pod słońcem szczęśliwca i czuję, że istotnie jest nim ten, kto może dłuższy czas w Molde zabawić.

XVIII.

Proszę sobie wyobrazić Szezyrbskie jezioro i powiększyć je w myśli przynajmniej kilkaset razy, zbocza gór w głębi odsunąć o czterdzieści kilometrów i pokryć gęsto śniegami, na toń modrą rzucić dwie długie bardzo wyspy, a w miejsce głównego hotelu pomyśleć siedem tysięcy dusz liczącą miejscinę, z której niema widoku na dolinę Wagu i Popradu, lecz na wysokie upłazy, ugrzane słońcem i pokryte najbujniejszą zielenią, a powstanie w ten sposób Moldenfjord, tem tylko różny od jeziora tatrzańskiego, że wody jego są słone i nieomal bezdenne. Dla uzupełnienia obrazu, niech fantazyja rozepnie nad tą kotliną niesplamiony najlżejszą chmurką błękit nieba, niech rzuci krocie blasków na wody, łąki, zbocza i flegdy, każe fali trącać cicho o kamień nadbrzeżny, a białej mewie trzepotać się w nasiąkłej lazurem powietrzu lub krażyć nad masztami stojących na kotwicy statków, a będzie to ta cudna sielanka wód i gór, światła i ciszy, której przez cały tydzień zaznałem w Molde.

Dano mi w hotelu pokój na drugim piętrze, z balkonikiem na fjord. Mimo niewyspania i zmęczenia, nie mogłem się oprzeć jego czarom. Wnet uwiązana u portu łódź zachwiała się podemną i po kilku uderzeniach wiosłem znalazłem się zawieszony między zenitem i nadirem, na fali pieściwej i miękkiej.

Celem mej wycieczki była wyspa najbliższa, pokryta borownikiem i świerczyną.

Nabito mi głowę opowiadaniem, że na wyspach takich można ręką łowić króliki, piec je na ogniu, z jagód mieć zakąskę, zamiast czarnej kawy pić sok dzikich porzeczek; wogóle w mgnieniu oka przedziergnąć się w Robinsona i wieść żywot zaświatowy i wolny.

Natężyłem też ramion jak mogłem, nie oszczędzałem rąk, które mi się wnet natarły i krwawić poczęły, byle tylko jaknajprędzej zakosztować onej swobody.—Ale w czystym powietrzu tych okolic pada się na wstępie ofiarą złudzenia optycznego i—o wstydzie i hańbo!—i ja, stary taternik, dałem się nań złapać. Patrząc z brzegu na wyspę i rozróżniając na niej najdrobniejszy splot gałęzi i korzeni, byłem pewny, że po chwili znajdę się w ich cieniu. W rzeczywistości jednak musiałem całą godzinę tego wiosłować, zanim udało mi się na niej wysiąść.

Uwiązawszy łódź u brzegu, poszedłem szukać... królików. Niema ich tu i chyba nigdy nie było, ale zato sam człowiek czuje się tu wnet udzielnym królikiem, nieograniczonym i wolnym. Cisza tu ogromna i spokój. Słońce praży potężnie, fala podbiega i cofa się, jakby zapraszała i nęciła na głębiny—niewiele myśląc, zrzuca człek z siebie cywilizacyjny pokrowiec zakietów, kamizelek i t. d. i ciska się do wody. A z otarciem niewiele się ma kłopotu. Takie marne wymysły kultury, jak ręczniki i prześcieradła, są zupełnie zbyteczne. Jesteś, bracie, mokry, a pragniesz być suchy, siadaj w łódkę, bierz kąpiel słoneczną i bujaj sobie po pustym zatopie, aż obeschniesz, i powtórzywszy taką kąpiel dwa, trzy razy, całą swą skórę wyprawisz na jaszczur. Piecze to wprawdzie i swędzi potem po nocach, ale powiadają, że to zdrowo, i sam, mając głowę nabita, że chemiczne działanie promieni słonecznych jest dla nieoglądającej go nigdy skóry zbawienne, zniesiesz chętnie kilka nocy bezsen-

nych, których i tak dla jasnego zmięzchu nie przepalbyś całkiem.

Rzecz prosta, że tego rodzaju bukolickie przyjemności możliwe są jedynie przed lub zaraz po południu, gdy wszyscy szanujący się turyści nasłuchują, ażali dzwonek nie woła już do stołu, albo gdy odprawiając siestę poobiednią, szukają kątów cienistych i chłodnych i nogą się z domu nie ruszają. Potem, pod wieczór już nie odważałem się nigdy na podobne kąpiele, bo można się nie obejrzed nawet, jak gdzieś z za hyrbiku wysunie się łódź żaglowa, sterowana drobną rączką w białych *glacé* rękawiczkach. Pod wieczór bowiem kto żyw (i to nietylko przelotne ptaki, ale i stali mieszkańcy Molde) rusza na fjord ochłodzić się trochę i pobujać na fali.

Ulubioną zwłaszcza rozrywką jest zbliżanie się do płynących wielkich okrętów, ażeby poruszona niemi woda hojdać poczęła drobne czółno. Dla małych bardzo łódek może taka zabawa być niebezpieczną, jeżeli się fali pozwoli uderzyć ją z boku.

Co do mnie, nie próbowałem tego nigdy i zupełnie mi wystarczyła ta emocja, jakiej doznawałem, ilekroć wiatr zmarszczył tylko zatopy.—To, co z brzegu wydaje się ledwo zmarszczką, jest już znaczną bardzo falą, która nieobytemu z morzem zapiera oddech i przywołuje na pamięć smutną pociechę, że na słonej i głębokiej wodzie łatwiej pływać, niż na rzecznej. Wiem tylko, że kiedy mnie taki podmuch na środku fjordu złapał, po raz pierwszy zauważyłem, że przecudne zkądinąd mewy przykro bardzo kwila, a kruki, których tu także nie brak, mają poprostu obrzydliwy, nieprzyjacielski głos.

Po forsownych wycieczkach wodnych smakował człeku słodko wypoczynek wieczorny. Siadałem zazwyczaj na swoim balkonie i gapilem się na fjord. Życie na nim na jedną nię ustaje chwilę. Hotel nasz oddzielony jest tylko małym ogródkiem róż od pomostu, przy którym zatrzymują się parowce, i na któ-

rych pełno snuje się ludzi miejscowych i turystów. Tych ostatnich przewija się dziennie setki. Molde bowiem jest punktem, o który muszą zawadzić wszyscy, zdążający lub powracający z Nordcapu, a nadto krajową stacją rządowej szosy, łączącej te okolice z Chrystyanią. Ztąd także najlepiej i najdogodniej można przedsiębrać mniejsze tury do doliny Raummy, pod sławny Romsdalshorn i do Eikisdalu.

Niema też dnia, aby kilka lub kilkanaście wielkich statków nie ukazało się w porcie. Jedne łączą tylko różne wsie i osady, położone nad fjordem; inne zbaczają tu z wielkich szlaków, jak Hamburg-Hammerfest lub Londyn-Lofoty. Nie brak tu także wybitnych gości.

W dzień mego do Molde przyjazdu, zjawił się w nim pod wieczór pancerny yacht wielkiego księcia Włodzimierza z muzyką i tłumami osób, po nim olbrzymi parowiec niemiecki „Victoria Augusta,” wracający ze Szpicbergu, a wreszcie sześć apokaliptycznych bestyj angielskiej floty wojennej, która od szeregu lat zawija tu i na tych spokojnych wodach ćwiczy swego rekruta.

Najznakomitszy atoli gość, mimo zapowiedzi telegraficznej, nie zjawił się wcale i dlatego straciłem jedyną sposobność oglądania w całym majestacie zakutego w stal „Hohenzollerna,” na którym cesarz Wilhelm odbywa swe północne eskapady.

Najwięcej jednak interesu miała dla mnie ta liczna rzesza Anglików, Francuzów, Hiszpanów i Niemców, których tu przewijają się dziennie gromady. Na nich to mogłem się przekonać, jak zupełnie odmiennie pojmują te ludy spędzanie lata w porównaniu np. z nami. My, mimo pozornej ruchliwości i żwawości, obieramy sobie zazwyczaj z góry miejsce willegiatury, i stanawszy na miejscu, odsiadujemy tam całe lato.

U Anglików niema mowy o takim odsiadaniu na jednym miejscu. Mimo swej osławionej cięż-

kiej krwi, nie wysiedzą w jednym miejscu dłużej nad dzień, dwa. Przyjechał taki pan, a czasem cała rodzina do Molde przypuścimy o godzinie 9 rano z Londynu. Wysiada, transportuje rzeczy do hotelu i ledwie wypił butelkę szampana lub reńskiego, siada na parowiec o godzinie 1 z południa i jedzie do Romsdal. Tam obejrzał Vaermofos, Romsdalshornet i Trolldinder¹⁾, ztamtąd przerzucił się do Eikisdal, z Eikisdal wydrapał się na jeden i drugi szczyt i patrzcie—za trzy dni wraca do Molde, zabiera kufry i rusza dalej statkiem albo kabrioletem t. zw. *skyds* (czytaj *szüss*), aby, obejrzawszy, przypuścimy, Thelemark i jego feldy, znów do Molde wrócić i ztąd obrócić się do Chrystyanii lub Tronthjem.

I tak wędrują tu wszyscy od znudzonych, starych samotników, do młodych panien, które przyjeżdżają tu same i z tobołkami na plecach odbywają niebezpieczne nieraż i trudne partye. Tak np. zdarzyło mi się widzieć cztery młodziutkie Norweżki, które bez niczyjej opieki i bez przewodnika schodziły z Romsdal do doliny Raumi i Væblungsnaes. Zupełnie w ten sam ruchliwy sposób spędzają tu lato i inni turyści i dość powiedzieć, że byłem jedynym człowiekiem, który pełny tydzień w Molde wysiedział.

Z dumą mogę powiedzieć, że z całego tego tygodnia *nullam diem perdidit*. Od wczesnego rana do późnej nocy spędzałem czas bądź to na wycieczkach wodnych, bądź lądowych, a jedną z najpiękniejszych była nocna wyprawa na szczyt Moldehei, kilkaset metrów wysokiego wzgórza, które osłania fjord od zachodnio-północnych wiatrów.

Ścieżka wiedzie zrazu przez park ze zwirowanymi drożynami, aby powyżej niego wkroczyć odrazu w świerkowy i sosnowy las i minawszy go wybiedz

¹⁾ Gzems czarownic.

nad granicę traw tam, gdzie się zaczyna skała pusta i fjeld.

Właśnie mijam ogromny płat śniegu, z pod którego sący się kryształowa woda. Opodal tego miejsca czerni się chata z wywieszoną na wysokiej żerdzi flagą. Tu kres mej drogi i ztąd najpiękniejszy widok. Jestto godzina 2 po północy, ale świat cały widny i przejrzysty. W dole fjord śpi pod mgłami, daleko na zachodzie Atlantyk buja nieogarniętą falą, a cała wschodnia połać horyzontu zastawiona gęsto tłumem szczytów czarnych, nakrytych fjeldami. To już ich państwo, ich to kraina. Gdzie fjeld się położył, tam już tylko orzeł się zabłąka lub stado zdziecziałych renów przejdzie powoli, wietrząc chrapami za mchem lichym lub płucnikiem. Czasem zakrzyknie lub fruśnie w powietrzu kurka śnieżna—zresztą cisza głucha, pustka i martwota. Śmierć tylko tu króluje, a nad nią wysoko gwiazdy, a nad niemi Bóg...

Kto nie był na fjeldach, kto choć godzinę nie wędrował po zbitym w gruzełki śniegu, nie odczuł mroźnego ich technienia i nie słuchał na nich z trwogą i zdumieniem bicia własnego serca, ten niema jeszcze wyobrażenia, co to jest martwa postać. Piaszczysta dolina pod Hrubym Wierchem, najdziksza z dolin tatrzańskich, ma fautastycznie rozkruszone głązy, kępki trawy i mehu i szemrzącą strugę—tu w okół śnieg tylko, śnieg wszędzie, śnieg bez końca, śnieg jeno i śnieg. Nie uświadczysz nawet wydobywającej się z pod niego turni, nie dojrzysz jednego załomu—jedna dokoła równina, biała i zamarta.

Wygląd taki zawdzięczają fjeldy kształtom Alp skandynawskich. Wszędzie indziej w górach wypełniają gleczerzy żleby gór, to jest strome, a niezbyt głębokie wąwozy, zbiegające od szczytu w doliny; tu niema takich żlebów i śnieg wieczny nie w nich się gromadzi, jeno w formie dachu leży na płaskowyżach (najlepiej określa je niemieckie *Hochplateau*) i zalega na nich ogromne nieraz przestrzenie, brzegami tylko

jak brylantowy okap zwieszając się po za krawędzie wyżyny skalnej. Nie należy jednak mylnie przypuszczać, że w Alpach skandynawskich lodowce całkiem nie schodzą w doliny lub nie mogą się dla stromości utrzymać na zboczach gór. Owszem, odrosła ich i ramiona pełzają dolinami na wszystkie strony, ale odrosła te nie różnią się już niczem od alpejskich lodowców i właściwy fjeld jest mniej lub więcej równą wysoko położoną i pokrytą śniegiem zlodowaciałym. O wielkości ich można najlepszego nabrać wyobrażenia z pomiarów, dokonanych na Jostedalsbrac ¹⁾. Powierzchnia jego wynosi tylko 900 kilometrów kwadratowych. Jestto wprawdzie największy z fjeldów Norwegii, ale inne małego są od niego mniejsze.— W nich też niewątpliwie znalazłyby się grudki śniegu, które leżą tam zakrzepłe od czasów epoki lodowej. Świat cały wokół zmienił się, powstały nowe lądy, a stare zapadły, ale fjeldy trwają niezmiennie, niespożyte i doczekają niewątpliwie drugiej epoki lodowej, w okres której podobno wchodzimy.

¹⁾ Brac — lod, wiec.

XIX.

Kilkudniowy pobyt w Molde i słodkie *dolce far niente* na łonie natury i fali fiordu smakowały zdżonemu tak dalece, że nie zamierzałem puszczać się na dalsze wycieczki w poszczególne zatoki fiordu i dolin górskich. Co wieczór wprawdzie, patrząc na purpurą słoneczną nakryty Romsdalshornet, jeden z najpiękniejszych szczytów okolicznych, latałem na jego wierzch myślą i patrzyłem z niego na daleki świat, ale trzeba było dopiero obcej inicjatywy, abym się wybrał na niego lub pod niego.

Któregoś dnia przybył mi przy *table d'hôte* towarzysz, z którym mogłem prowadzić konwersację. Był to p. Ising, młody Berlińczyk, z biur ministerjum spraw wewnętrznych, butna sztuka, ale jeden z tych, z którym nawet dyskusja o sprawach polskich w Prusiech była możliwą. Rozmowa, zrazu najobojętniejsza, przeszła wkrótce na tory bardzo poważne i otworzyła mi się sposobność wypowiedzieć kilka gorzkiek prawd i kilka niezmiernie szczerych zdań, co my myślimy o polityce rządu pruskiego względem nas.

Nadto zapewniłem mego interlokutora, że w nas samych zachodzi pod tym względem widoczna zmiana i coraz bardziej nabieramy przekonania, że więcej, niż czeza dyskusja, wart jest, jako czyn, dobrze uszyty but, dobrze napisany wiersz, dobry i rzetelny han-

del, słowem, obowiązek wszelki i wszelka praca, nie-pociągająca atoli za sobą bynajmniej rezygnacji z tych postulatów narodowych, których zrzeczenie się byłoby śmiercią naszą. Spokojny, zupełnie europejski tok rozmowy zakończył się zapewnieniem strony przeciwniej, że ze stanowiska polskiego mam zupełną rację, a Niemcy ze swego znów państwowego stanowiska nie mogli inaczej postępować, jak postępują, czyli że ta walka, która dziś istnieje, jest konieczną.

— Zgoda na nią — odrzekłem — tylko wymyście w niej broń humanitarniejszą, niż bezprawie i szlachetniejszą, niż podżeganie mas. Jeśli musimy — walczmy, ale walczmy inaczej.

Ostatecznym rezultatem nowej znajomości było to, że postanowiliśmy razem odbyć wycieczkę do Rom-sdału. W dzień powszedni, mimo licznych połączeń okrętowych z Molde, wyprawa taka wymagałaby dwóch i pół dnia. Tylko w niedzielę można ją było odbyć w osiemnastu godzinach, wyjeżdżając mianowicie ranniutko z Molde i mając tym samym statkiem zapewniony powrót około godziny 12-ej w nocy.

W niedzielę też wyruszyliśmy z pomostu przed hotelem „Aleksandrya” na pokładzie jakiegoś „Frama,” czy „Vegi” — temi bowiem imionami chrzczą tu większość małych, lokalnych parowców. Dzień był piękny, choć trochę nazbyt wietrzny. Zrazu przewijaliśmy się wśród znanych mi z moich żeglarskich wypraw wysepek, ale wnet po za niemi rozpoczęły się nowe dla mnie widoki, wciąż zmieniające się i różne, z tym samym jednak zawsze charakterem. Błękitna woda, mniejsza lub większa zatoczka, czarne, w romboidy popękane skały, zrosnięte w góry kształtu pagórków lub rzadziej piramid, rzadki las świerkowy, a nad tem niebo rozpięte i kilka chmur smużastych. Im bliżej jednak jesteśmy głównego trzonu gór, tem bardziej zacieśniają się wodne przesmyki, a szczyty okolne rosną. Tu i owdzie przerzuca się przez nie

kaskada wodna i rozsuwa białe swe przedziwo na ciemnych zrębach. Jest w tej obfitości wód wiele życia i ruchu — ale więcej jeszcze żałoby. Słońce jej nie umniejsza! Blask jego dziwnie się rozprasza i przesycę cały przestwór jakimś rzadkiem, przezroczystym mlekiem. Ztąd też światło dzienne wydaje się tu mętne.

Wskutek braku gorących, żółtych i czerwonych tonów, koloryt fiordów jest dziwnie spłowiały i szary. Jedynie błękit wody i niebo nadaje im światło — i ponieważ z nich ono wychodzi, zmienne jest ciągle i żywe. Dla malarza musi pejzaż norweski przedstawiać nieprzeczwyciężone trudności. Nie udało mi się też ani w Chrystyanii, ani w Trondhjem spotkać z dobrym płótnem; wszyscy — i nasz Nałęcz — malują fiordy nudnie, „fad,” a przecież krajobraz tych okolic bynajmniej nudnym nie jest.

Po trzygodzinnej żegludze wysiadamy w Veblung-snaes u stóp Saetnesfieldu i niedaleko ujścia rzeki Raumy, której doliną mamy się puścić dalej. Tu po raz pierwszy przyszło mi odbyć dłuższą drogę na „skyds,” t. j. lekkim pojeździe, będącym w Norwegii jedynym lądowym środkiem komunikacyjnym. Jest to instytucja jedyna w swoim rodzaju. Rząd nie myśli trzymać dyliżansów pocztowych i podwozy te, które dla rządu przewożą pocztę, pozostają w prywatnym zarządzie. Przy wszystkich traktach i gościńcach znajdują się w odstępach 12 do 20 kilometrów gospody i hotele, których właściciele utrzymują konie swoje i pojazdy. Jedzie się więc rozstawionemi końmi i to według najściślejsz obliczonych taks i taryf.

Niema zupełnie wypadku, aby woźnica lub właściciel „skyds” pragnął wyzyskać chwilę burzy lub pośpiech podróżnego i na tym punkcie przestrzegają tu tak niespotykaną gdzieindziej uczciwość i rzetelność, że z dobrą mapą w rękę można z góry obliczyć sobie koszt drogi temi pojazdami choćby na setki i tysiące kilometrów.

Lokomocya za pomocą „skyds” ma dwie cudowne strony; po pierwsze jest bardzo tania — za jednego konia płaci się od kilometra 9 örów, t. j. niecałych 6 centów, a powtóre, jest nad wyraz przyjemną dzięki urządzeniu samego pojazdu. Na dwóch kołach mianowicie i położonych na nich deskach wznosi się siedzenie na jedną osobę, siedzenie w kształcie muszli, które obejmuje jadącego miękko i wygodnie. Woznica, zazwyczaj mały chłopak, siedzi z tyłu i powozi nad głową lub, co częściej bywa, podróżny ujmując lejce i sam powozi. Ponieważ jeździ się zazwyczaj kabryolecikami na jedną osobę, przeto siedząc w takiej muszli, na wysokości dwóch metrów od ziemi, nie jest się krępowanym niczyjem sąsiedztwem, ma się ciągle zupełnie otwarty widok i można się całkowicie oddać obserwacji mijanych okolic, dolin i gór. A zaraz, minawszy Vaablungsnaes, jest się czemu przyglądać. Szosa wije się raz prawym, raz lewym brzegiem Raummy, słynnej z połowu łososi, i wspina się powoli przez zwały moren, szkarpy i brzeżki i w coraz dziksze zapuszcza parowy.

Coraz też mniej widać nieba i coraz bliżej czernieją krzesawice tak strome lub nawet podstawami wstecz cofnięte, że roztopy fieldu, minawszy ich krawędź górną, nie rozbryzgują się na prostopadłych ścianach, jeno lecąc przez powietrze, rozpylają się w niem na pasma mgły białej i rosą srebrną padają cicho na piargi dolinne. Coraz też częściej mijamy miejsca, gdzie dla echa nietylko strzelić z rewolweru, ale nawet głośno krzyknąć nie wolno, bez narażenia się na zmiążdżenie oberwaną skałą. W zimie jeszcze większe grozi w tych punktach niebezpieczeństwo od lawin śnieżnych, których spadku nie można przewidzieć. Natura jest tu panią tych okolic, nie nędzny człowiek. Zapusć się z posępnym i milczącym mieszkańcem ich w rozmowę, nie usłyszysz innych wieści, jak to, że przed tyłu a tyłu laty turnia spadając, zmiołła trzy zagrody, zaprzeszłego roku zleciał okap fieldu

i zagrzebał tyle a tyle krów z pastuchem, niedawniej zaś, jak roku łośńskiego, cała rodzina udusiła się pod brzemieniem lawiny, zanim zdołano chatę ogrzać z pod śniegu. Inaczej też tutejszy człowiek patrzy na naturę, niż sentymentalny mieszcuch z równi. Dla niego jest ona surową macochą, czemś podstępem, złem i groźnem. Cały zaś jej straszny majestat wcielił się w dolinie Raummy, w szczyt Romsdalu czarny, dziki, milczący. Mróz od niego idzie i śmierć.

Z jabłkiem słonecznem w dłoni, z berłem pionowem, w purpurze podbitej śniegów gronostajem, duma posępny olbrzym i otula się opończą mgieł. Wieki nad nim przeszły, sto gwiazd na nim zgasło i sto nowych zapłonęło, przewaliły się burze i wichry, stopniały mroźne pokrowce lodowej epoki i nowe się zbliżają — on wszystko to widział, wszystko zna, pamięta, nic go nie zadziwia, nic nie zdumiewa. Stoi niespożyty, straszny, milczący — mróz od niego idzie i śmierć!

XX.

Wkrótce po wycieczce do Romsdalu trzeba mi się było zabierać na południe, nad inne fiordy, a wreszcie do domu. Szczery żal ścisnął mi serce, gdy dwumasztowy „Jupiter” stanął u pomostu hotelowego, a służba przeniosła moje manatki do kajut. Wiedziałem, co tracę, porzucając Molde, a przeczuć nie mogłem, co mi jutro przyniesie. Żal mi było tej arkadyjskiej sielanki, tej błękitnej, słonecznej przeczycz powietrza i fali, rozsnutej nad wyspami fiordu i fantastycznymi szczytami gór. Żal mi było tego panteistycznego roztracenia się w naturze, tego współżycia i współczucia z wodą i wichrem, tej ciszy ogromnej i samoistności, w której najtajniejszy głos własnego ja wyłamuje się z pod powłoki przyzwyczajęń i konwenansu i rzuca nowe światło na przeszłość, a przyszłości nowe zakresła drogi. Ate właśnie inne i odmienne spojrzenie przed siebie pragnęło — zda się — przyspieszyć obroty szruby, uskrzydlić statek i lecieć prosto w świat nowy.

Natura pejzażem swym uzupełniła złudzenie. W godzinę po odbiciu od brzegu minęliśmy wjazd do Moldenfiordu. Za nami leżała cicha sielanka, przed nami ogromny, zapieniony ocean. „Jupiter” wspina się na jego fale, kołysze sennie i unosi w dal.

Nazajutrz z południa bieg jego się zwalnia, a kilka sygnałów parowej syreny świadczy, że zbliża-

my się do Bergen. Pogoda cudowna. Żarty na jej temat sypią się dokoła. Trzeba bowiem wiedzieć, że piękny dzień należy w Bergen do mytów. Powstała nawet na ten temat legenda, a jak inni zapewniają, miało się tak zdarzyć istotnie, że pewien kapitan okrętu, który czterdzieści razy zawijał do Bergen w deszcz, czterdziesty pierwszy raz ujrzawszy je w pogodę, zawrócił copędzej na pełne morze, pewny, że zabłądził w drodze.

Jest niewątpliwie wiele przesady w tej dyktetyce, ale niemniej faktem jest, że Bergen ma w ciągu roku zaledwo kilka dni słonecznych. Powodem tych obfitych opadów jest ukształtowanie gór okolicznych i kierunek prądów powietrznych, które z całego Atlantyku znoszą tu wilgoć i oziębioną na okolicznych fieldach wylewać się tu każą.

Nam wyjątkowo dano obejrzeć stary gród w pełnym blasku słońca, w całym przepychu barw i światła. Dwie zatoki, dwa porty, Vaagen i Puddeford, rozdzielone wzgórzystym przylądkiem Nordnaes, obiadły czerwoną dachówką kryte domy. U portu zabudowania gęsto przecięte rucniwą Strandgade, rzadną w miarę oddalenia od brzegu i błyszczącą białymi fasadami pałaców i willi. Za nimi mało domki kilku przedmieść wspinają się na zbocza amfiteatralnie w głębi wznoszących się gór, czarnych i pustych, nakrytych białym okapem Fløifieldu. Całość zda się być gniazdem jakiegoś ptaka morskiego, który przylulił swą lepiankę do wysokich skał, aby się niemi osłonić od wichr.

Przeszłość Bergen sławna jest i krwawa. Swojego czasu była to główna placówka handlu reszty Europy z Północą. Pośredniczył w nim przedewszystkiem związek Hanzy, a miasta związkowe miały tu swoje faktorye. Największe należały do Lubeki i Hamburga, a ślad ich zachował się w porcie do dziś dnia w nazwie pomostu i magazynów t. zw. *Tyskobryggen*. Miało też Bergen swój okres, w którym żywioł nie-

miecki był w niem panującym. Bogatsi kupey, utrzymując tu stałych swoich agentów, decydowali o losach miasta i liczebnie przeważali w jego reprezentacji. Dla zapewnienia sobie dominującego stanowiska, starali się przede wszystkim owych agentów swoich odciąć zupełnie od ludności tubylczej i pobyt ich w Bergen uwarunkowywali mnóstwem ustaw i paragrafów, z których niejedne były dla agentów uciążliwe, a dla miasta demoralizujące. Tak np. agentem miast związkowych w Bergen nie mógł być człowiek żonaty, a jeżeli agent kawaler złamał słowo i ożenił się z mieszczanką, to wówczas natychmiast odwoływano go do metropolii lub pozbawiano zatrudnienia.

Można sobie wyobrazić, jakie stosunki musiały zapanować w niemieckiej dzielnicy miasta i jak nisko upadła w niej moralność. Rozluźnienie obyczajów i demoralizacja codziennego życia musiała się też wkrótce odbić i na stosunkach politycznych i doszło do tego, że panowanie Niemców w Bergen zapisało się w dziejach haniebnymi i krwawymi gwałtami. Trwało to przez wiek cały, od połowy XV do połowy XVI wieku. Dopiero Krzysztofowi Walkendorf udało się z bronią w ręku złamać potęgę obcego żywiołu w 1559 roku, jakkolwiek długo jeszcze, bo prawie dziesięć lat, żywioł ten w Bergen istniał i wybitne zajmował stanowisko.

Mimo wszystko, sprawiedliwość każe przyznać, że czasy niemieckich w Bergen wpływów były zarazem okresem największego rozwoju miasta. Pod względem handlowym zajmowało ono wówczas wybitniejsze stanowisko, niż Kopenhaga, a później byłoby zeszło do rzędu małych miścin, gdyby nie handel rybą. Dzięki jemu to, rywalizuje dziś Bergen pod względem bogactwa z Chrystyanią, a nawet ją przewyższa.

Ażebym mieć należyte pojęcie, czem ryba jest dla Bergen, wystarczy sobie uprzytomnić, że każdej chwili uwija się wzdłuż wybrzeży Norwegii, od Christiansund

do Hamerfest, dwadzieścia tysięcy łodzi i brygów, na których przez rok okrągły żyje osiemdziesiąt dwa tysiące ludzi, zajętych wyłącznie połowem. Wartość jego waha się pomiędzy 20 — 30 milionami koron, których połowa przynajmniej w formie kapitału w Bergen pozostaje. Ztąd też najbogatsi ludzie w Norwegii to są kupcy ryb i grosiści bergeńscy. Próbką ich zamożności jest np. fakt, że jeden z nich, bynajmniej nie Krezus w porównaniu z innymi, płaci za dzierżawę kilometra rzeki pod połów łososia dla sportu i własnej tylko kilkodniowej przyjemności, dwanaście tysięcy koron! Jest to rzeczywiście rozrzutność, jeśli nie marnotrawstwo, ale nie zdziwi ono bynajmniej, skoro się zważy, że handel rybą jest zupełną loteryą, hazardem w rodzaju nafty, który w jednym roku biedaka czyni milionerem, a milionera w krótszym nierównie czasie doprowadzić może do zupełnej nędzy.

Przyczyną tego jest natura samejże afery. Wprawdzie od niepamiętnych już czasów cała niemal pletwiasta ludność Atlantyku odbywa rokrocznie pielgrzymki do brzegów Norwegii i daje się tam krociami łapać, ale pielgrzymki te ulegają pewnym wariacjom i wahaniom jakościowym, a przedewszystkiem ilościowym. Dajmy na to, że na dwa miesiące przed pojawieniem się ławicy śledzi, zawarto na podstawie ostatniego połowu kontrakt o dostawę dwudziestu tysięcy tonn solonego śledzia po cenie cztery korony za tonnę, co jest średnią ceną tonny śledzi. Tymczasem istotny połów dostarcza takiej obfitości ryby, że chwilowo cena tonny notowana jest na giełdzie dwie korony i za tę cenę można ją istotnie nabyć od poławiaczy. W powyższym wypadku aferzysta zarabia od razu na czysto czterdzieści tysięcy koron. Przypuśćmy, że na podstawie tego ostatniego połowu zawiera znów kontrakt na rok następny dwa razy większy co do ilości, to zn. zobowiązuje się dostarczyć czterdzieści tysięcy tonn solonego śledzia po cztery korony.

Tymczasem śledź pojawia się w tak małej ilości, że kurs za tonnę dochodzi do ośmiu koron—rzecz, która się niezbyt rzadko zdarza. Jednorazowa strata kupca w tym wypadku wynosi sto sześćdziesiąt tysięcy koron; strata zatem, która nie jednemu może zupełnie podciąć nogi. Nie też częstszego w Bergen, jak zrobienie olbrzymiej fortuny w ciągu kilku lat, albo też zupełna ruina bogaczy.

Nie od samego atoli skąpego lub obfitego połowu zależą bergeńscy kupcy. Czasem spryt i przebiegłość równą odgrywa tu rolę, a klasyczny tego przykład zdarzył się niedawno, podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej o wyspę Kubę. Sprawa mianowicie tak się miała:

Na rok przed wybuchem tej wojny zdarzył się niezmiernie obfity połów miętusa. Jest to ryba, która, podobnie jak śledź, wędruje bardzo wielkimi ławicami i jest codziennym pokarmem ludności nadbrzeżnej. Przyprawiają ją w dwojaki sposób, a raczej w jednym i drugim wypadku przeryniają tak samo przez pól i suszą na słońcu, lecz w dwie odmienne formy, i raz robią z niej stockfisza, a drugi raz sporządzają z niej tak zwanego klippfisza. Całe Włochy jedzą tylko stockfisza, podczas gdy Hiszpan do ust go nie weźmie i uznaje tylko klippfisza, a i to miernie. Zapotrzebowanie Włoch mniejsze było owego roku od połowu miętusa i w całej Norwegii, a zwłaszcza w Bergen, pozostały ogromne zapasy stockfisza. Równocześnie zanosilo się już na wojnę i Hiszpania lada dzień miała rozpocząć zakupno żywności dla swej armii. Cóż tedy robi jeden z kupców bergeńskich? Cały swój majątek stawia na jedną kartę. Skupuje za bezcen ogromne ilości stockfisza i dołączywszy do nich swoje zapasy, rozmacza je w wodzie i zmienia kształt ich. Rząd hiszpański, przestrzegający postu w armii, zwraca się do kupców bergeńskich o dostawę klippfisza i pomysłowy aferzysta zarabia na jednej transakcyi przeszło pół miliona koron, a zara-

zem pobija wszystkich swoich konkurentów. Juści, że taka gratka nie codziennie się zdarza, ale jeśli się zdarzy, to prowadzi wtedy odrazu do wielkiego majątku.

Takim fluktuacyom fortuny podlegają oczywiście tylko handlarze ryb. Rybak, który je łowi, nie ponosi żadnego ryzyka i rzemiosło jego daje mu ciężki, ale pewny chleb. Wymaga ono żelaznego zdrowia, odwagi i doświadczenia.

Jak już nadmienilem, każdej chwili uwija się wzdłuż wybrzeży Norwegii 80 tysięcy ludzi na łodziach i kippach i wszyscy oni łowią, nie z jednakim jednak szczęściem. Najwięcej ich zbiera się zawsze we fiordach, a już tłumy całe kręcą się ustawicznie na cieśninach i przesmykach Lofotów, wysp skalistych, podobnych do Tatr, zanurzonych wprost w morze, o niezmiernie fantastycznych kształtach, lichiej vegetacyi, a wielkiej wód rybności. Dzielią się one na dwie grupy: Lofotów wschodnich i Lofotów zachodnich—i obie grupy jednakowo są przez rybaków nawiedzane. Tryb życia tych ostatnich jest mniej więcej ciąglą włóczęgą po wodzie. Dajmy na to, że siedliskiem danego rybaka jest Christiansund, a więc, że „holm” jego kryje się gdzieś wśród poszarpanych skał południowej Norwegii. Zostawiwszy w domu żonę i zupełnie drobne dzieci — nieco starsze wędrują już razem z ojcem i zaprawiają się zawczasu do rzemiosła i walki z morzem—wypływa on na swej łodzi z wiosną i łowiąc ciągle po drodze, co mu się zdarzy, podąża na północ w miejsce, do którego ławica śledzi przyplywa w maju. Miesiąc ten obraca wyłącznie na połów śledzia i to oczywiście zawsze do spółki z innymi, gdyż, jak to zaraz zobaczymy, połów tej ryby wymaga współdziałania kilkuset ludzi i łodzi. Gdy już uporał się ze śledziem, posuwa się dalej na północ ku Lofotom i tu już na własną rękę łowi „tosk”, to jest miętusa.

Najobfitszy jego połów przypada na sierpień.

Gdy wszystkie już swe skrzynie napełnił zdobyczą i posuwając się wciąż ku północy, dotarł do Vardö i Vadzö, wtedy sprzedawszy swój łów zawraca ku południowi i w listopadzie mniej więcej bierze udział w drugim, dorocznym połowie śledzia. Zaledwie ten się skończył, cała flotylla rybacza rozprasza się znów i znów każdy łowi na własną rękę miętusa dopóty, aż nie zacznie się wiosenny połów śledzia. W ten sposób jak rok okrągły nie schodzi on prawie na ląd i szczęśliwym się mieni, jeżeli w ciągu roku może dwa tygodnie spędzić w domu w gronie rodziny. Bywa i tak, że przez dwa i trzy lata nie widzą go żona i dzieci, bywa i tak, że nie wraca nigdy.

Statystyka wykazała, że co trzeci człowiek wśród ludności nadbrzeżnej ginie śmiercią gwałtowną w walce z życiodajnym, a zarazem śmiertelnośnym żywiołem. Walka ta jest straszną. Dobrze jeszcze i szczególnie, jeśli wichry pędzi tylko łódź lub ją na wodach obłaka i skaże sternika na chłód i głód. Ale jeśli burza zerwie się nagle i podstępnie, jeśli zmęczona wiosłowaniem dłoni nie zdąży na czas przeciąć sznurków, którymi żagle napięte — co wtedy? Wtedy łódź jak łupina przewraca się i rozpoczyna się krwawy zapas życia ze śmiercią. Jedynym jeszcze wtedy ratunkiem jest krótki, kieszonkowy nóż, który każdy rybak nosi przy sobie. Gdy mianowicie łódź się przewróci, wtedy rozbitek wbija go z całej siły w dno jej i trzymając się zań jedną ręką, stara się drugą dowiosłować do brzegu. Jeżeli klinga wytrzyma kurczowy uścisk, żona i dzieci doczekają się męża i ojca, jeżeli pęknie, a fala szczytów czółna do osad ludzkich przygna, to one, jak niegdyś kij pokryty runami, powiedzą tym, co pozostali: niech nie chodzą już więcej na najbliższy wzgórek i nie śledzą oczyma brązowo-zielonych zatopów. Nie ujrzą na niej znajomej łodzi, a w ryku bałwanów usłyszą jeno posępne krakanie: nigdy, nigdy...

Rzypisałem się nieco o rybakach i rybołówstwie

w Norwegii, bo chociaż rzecz jest prostą, jednak nie ma się o niej na lądzie należytego pojęcia i mógłbym niemal w zakład iść, że żaden z moich czytelników nie wie, na jakiej zasadzie opiera się łowienie ryb w morzu. W jeziorach lub rzekach posługujemy się wędką, wężerem, koszami w kształcie lejka lub też siecią czworokątną, której każdy róg przyczepiony jest do krzyżaka, przytwierdzonego do dłuższej rączki. Mechanizm i sposób łowienia na wędkę jest sam przez się zrozumiały, wężerem i siecią wyciąga się ryby z wody, a kosze działają automacalnie. Ale jak łowić na morzu?

Zasada łowienia jest bardzo prostą i nad morzem wie o niej najmniejsze dziecko. Oto ryba jest stworzeniem tak zbudowanym i tak ma osadzone pletwy, że nigdy wstecz poruszyć się nie może i jeżeli przypuszcmy wsunie się do połowy ciała w szczelinę skalną, w której nie może wykonać całem ciałem obrotu, to zostaje już w niej na zawsze i stukając pyszczkiem o tylną ścianę takiej szczeliny, ginie zawsze marnie. Oczywiście zdarza się to niezmiernie rzadko, bo silniejszy ruch fali wyrzuca ją z takiej szczeliny, a na ten ruch może ryba czekać bardzo nawet długo, żywiąc się przepływającą przez jej oskrzele wodą i drobnoustrojami. Pomyślmy sobie teraz, że ryba, płynąc, spotyka na swej drodze nie szczelinę skalną, ale oko sieci rybackiej, której sznurków nie może dobrze widzieć, a po za którą uwieszono rozmyślnie mnóstwo błyszczących przedmiotów, jak skorupy porcelanowe i kawałki szkła, widzialne zdaleka dla ryby. Żarłoczność — a wszystkie ryby są ogromnie żarłoczne — pędzi stworzenie ku tej domniemanej zdobyczy i zanim się ono obejrzy, już więźnie w siatce i im bardziej stara się z niej wydostać tem głębiej się w nią wbija. Proceder zatem łowienia jest następujący: Niezbyt daleko od brzegu, w przesmykach pomiędzy wyspami, zwłaszcza wśród szerów albo też gdzieś na środku fjordu kilka łodzi rzuca do wody

sieć długości kilkuset metrów, obciążoną u dołu kamieniami, a unoszoną niezbyt głęboko pod powierzchnią wody na pustych beczkach. Długim więc takim pasem wisi sieć w wodzie prostopadle i biada temu stworzeniu, które w wędrówce swej szuka przez nią drogi. Utkwiwszy w oku sieci, czeka ono aż nad rankiem lub za kilka dni zjawi się rybak i wyciągając sieć, uwolni ją z więzów i zazwyczaj natychmiast wykona na niej doraźną egzekucję. Rzecz prosta, że porzucona tak w wodzie sieć jest rzeczą świętą i nieetykalną i nikt jej z wody nie ukradnie.

Można atoli nie zabierać sieci, ale potajemnie wyciągnąć cały połów. Ażeby ludzi nie kusić, zaprowadzono też wśród rybaczej czeladzi rodzaj kontroli, polegającej na tem, że wszyscy, którzy w pewnym miesiącu oświadczyli się za połowem w danym rewirze, podzieleni są na dwie grupy: łowców nocnych i dziennych — i jeżeli przypuścimy wszystkich łodzi jest trzysta—to połowa wypływa na morza o godzinie 6-jej rano i bawi na niem do godziny 6-jej wieczorem— a drugie 150 łodzi uwija się przez resztę doby; w razie zaś wypadku i nie stawienia się na oznaczoną godzinę zmiany w porcie, płaci dość znaczne kary pieniężne. Wskutek takiego prostego urządzenia wszelkie oszustwo jest wykluczone, a szczęśliwy połów zależy już wyłącznie od doświadczenia danej jednostki.

Doświadczenie to spełnia w rodzinie rybaka rolę tradycji i przechodzi w tajemnicy z ojca na syna. Przezorny bowiem rybak, jeżeli w pewnem miejscu udało mu się osiągnąć obfity połów, notuje sobie skrzętnie miejscowość, czas i uboczne okoliczności temperatury, wiatrów i prądu wody. Im więcej takich danych udało mu się zebrać—tem pewniejszym może być powodzenia. Z placówki, z której dziesiątki rybaków umyka zawiedzionych, jednostka doświadczona uwozi centnary miętusów, flader i łososi. Nadto wymaga rybołówstwo dokładnej znajomości natury i przyzwyczajęń danego gatunku ryb. Stosownie do

tego należy używać odmiennych pór dnia i odmiennych narządów.

Najważniejszym, dwa razy w roku powtarzającym się połowem, jest połów śledzia. Wymaga on współdziałania setek ludzi, kilkudziesięciu większych bark i mnóstwa drobnych czółen. Wiadome już są miejsca, gdzie ławice śledzi przychodzą na tarło. Ponieważ jednak i miejsce i czas ulega pewnym wariacyom, przeto z chwilą zbliżania się takiej ławicy straż nadbrzeżna i latarnie rozsyłają natychmiast depesze na wszystkie strony, aby poruszyć wszystkich rybaków danego rewiru.

W umówionem miejscu zbierają się oni i wiążąc ze sobą 5 do 10 tysięcy metrów sieci, oskrzydłają półkołem ławicę rybną. Gdy już sieć wrzucono w wodę, wtedy tylko pierwszy i ostatni statek ciągną ją w wodzie, a reszta przygotowuje na pokładach beczki i sól. Małe zaś czółna, sterowane zazwyczaj przez młodych wyrostków, posuwają się zwolna za siecią w miarę jej holowania i żerdziami, kamieniami i krzykiem starają się pędzić ławicę w oznaczonym kierunku, t. j. ku brzegom. Tu mają już rybacy upatrzone zatoki w kształcie klina i w zatokę taką zapędzają śledzia, zwijając na dwóch krańcowych barkach sieć w miarę potrzeby. Z chwilą, gdy ryby zdołano wcisnąć w taką zatokę, zaciągają się sieci znacznie szersze, bo sięgające aż dna, a w ten sposób osaczona ryba nie może już wrócić na pełne morze.

Niedaleko Tronthjem widziałem w przejeździe taką pułapkę śledziową. Powierzchnia jej mogła wynosić około 100 morgów, co przy głębokości tylko 10 metrów stanowi przestrzeń, w której mieszczą się krocie tonn ryby. Cała ta przestrzeń jest w czasie połowu wypełniona śledziem, a wtedy zaczynają już pracować małe saki. Każde ich zanurzenie wynosi nad wodę tysiące małych stworzeń, które wędrują w cebrach na brzeg, gdzie po bardzo krótkiej ope-

racyi wydobywania trzew zasypywane są solą i wrzucone do beczek. Szczęśliwa ta wyprawa, która ma z sobą podostatkiem soli i beczek. W razie braku ich zdarza się, że połowę śledzi trzeba z powrotem puścić w morze, bo niema co z nimi robić. Zdarza się również, że największy nawet zapas soli i beczek nie może zdobywszy pomieścić, a wtedy cena towaru spada w cenie tak dalece, że np. zdarzają się lata, w których tona śledzi warta jest zaledwie 80 örów = 45 centów. W latach właśnie takich robią się wielkie majątki lub tracą większe jeszcze fortuny. Oczywiście w Bergen. Wahanie bowiem cen nie odbija się zupełnie na poławiaczu. On zarabia prawie zawsze jednakowo, nie świetnie, ale bez żadnego ryzyka.

W czasie połowu śledzia wszelka inna ryba wyciągnięta sakiem uchodzi bezkarnie. Choćby to był metrowy łosoś żaden z rybaków nie tknie się go, lecz puszcza z powrotem do morza, wiedząc, że prędzej lub później on mu nie ucieknie. Sportowcy, przeważnie przyjezdni Anglicy, wyłowią go w czasie tarła w słodkich wodach rzek i strumieni — przez cały zaś ciąg roku dybią na niego w pobliżu brzegów kunsztowne bardzo sieci, w kształcie stożków zetkniętych wierzchołkami, a u góry i u dołu otwartych i rozpiętych w średniej głębokości na pustych beczkach. W ten sposób jednakże łowi łososa rzemiosło, a sztuka i sport posługuje się wyłącznie wędką. Zabawa taka wymaga co najmniej dwóch ludzi. Łowiący zarzuca 200—300 metrów długą wędkę (na krótsze łosoś nie idzie wskutek ogromnej czujności i ostrożności) i uważa na chwilę, gdy pływak wędkę zadrga na powierzchni wody. Znak to, że ryba, połknąwszy przynętę z haczykiem czuje się na nitce uwiązanej i zaczyna ją silnie ciągnąć. Wtedy drugi człowiek zaczyna mocno robić wiosłami w kierunku, w którym zdobycz ucieka i pozwala jej dłuższy czas szarpać się bezskutecznie, dopóty, aż biedne zwierzę z sił opadnie. Gdy to już nastąpi, a poznać można po

słabem napięciu cienkiej nici, wtedy łódź dopływa do brzegu, a poławiacz nawija powoli i ostrożnie nitkę wędkę na bloczek,

Gdy już w ten sposób przyholował zwierzę na płytką wodę, wtedy wiosłarz brodząc w niej, zbliża się do ryby i przebijając ją zakrzywionym hakiem, wyrzuca na brzeg. Długie takie ceregiele spowodowane są nie tylko sportem, ale również i koniecznością. Łosoś dochodzi tu nieraz do wagi 20 klg. i do rzadkości nie należą tu bynajmniej egzemplarze ponad półtora metra długości.

Najpospolitszą z ryb tych okolic jest miętus. Daje się on łowić we wszystkich porach roku i bez trudu, dzięki swej głupocie, a raczej zupełnemu brakowi ostrożności. Istnieje też przysłowie norweskie: *tu er en tosk* — jesteś miętusem; używane na określenie czyjejs naiwności. Po miętusach i łososiach najważniejszą dla Norwega rybą jest flądra i węgorz, po nich zaś idą homary, kraby i anjouvisy, odgrywające na północy tę samą rolę, co sardynki na południu.

Wspominałem już, że najważniejsze rewiry rybaczkie leżą w Lofotach wschodnich i zachodnich, a nadto we wszystkich fjordach. Z placówek tych dostaje się ryba do miast nadbrzeżnych, a ztąd bądź żywcem, bądź też w formie konserw do Bergen. Oprócz bowiem olbrzymiego eksportu do innych krajów, stanowią też ryby najważniejszy pokarm tubylczej ludności. Wszelkie też rynki miejskie zawalone są tym towarem. O kupnie na wagę niema tu jednak mowy. Wszyscy sprzedają i kupują tu na sztuki, a miarą ceny niech będzie to, że za metrowego, żywego łososa nie płaci się więcej, jak półtorej do dwóch koron. — Dopóki mi o tem opowiadano, nie chciało mi się w to wierzyć—atoli wnet przekonałem się o tem osobiście, gdy przebiegając przez Strandgade,

zdażałem z portu do centrum miasta. Zaraz bowiem po przyjeździe udać się musiałem na pocztę po listy z kraju. Wiadomości tu otrzymane wpłynęły decydująco na dalszą podróż. Okoliczności wzywały mnie z powrotem. Postanowiłem też przejechać raz tylko Hardangenfjord i dotarłszy do Odde zawrócić z powrotem. Nazajutrz też ruszyłem lokalnym parowcem w głąb tej norweskiej Szwajcaryi, wśród najpyszniejszych okolic i widoków.

XXI.

Myśl, że mogę przejechać tylko tam i z powrotem najpiękniejszy z fjordów norweskich i nigdzie mi nie wolno zatrzymać się w nim dłużej, psuła mi cały nastrój przepięknej drogi. W pierwszej chwili zciemniło się wprawdzie powietrze i gęste chmury zaczęły siec deszczem stolicę ryb i rybaków; ale już dwugodzinne oddalenie od Bergen wystarczyło, aby odsunąć się od tej wiecznie ciekącej rynny i by móż swobodnie, chodząc po pokładzie, podziwiać cuda natury, rozsypane tu hojną ręką Stwórcy.

Zrazu przeciskaliśmy się przez cały labirynt głaznych raf i szerów, wśród wysp opustoszałych, na których tu i owdzie błyskały okienka rybackich „holmów.” Wnet jednak wpłynęliśmy na wody szerzej rozlane, tworzące niewielki Bukkenfjord.

Po za nim rozpoczyna się wązka gardziel wodna Karmsundu, za nim sletten, to jest kawałek otwartego morza, które łączy się już wprost z wodami Børmelfjordu. W tem miejscu drogi wjeżdżamy już na właściwy Hardanger. Norwegczyk zwie go morską Szwajcaryą, a narodowy pieśniarz Vereeland najpiękniejsze poświęcił mu liryki.

Na północnym wschodzie majaceje w białym zmierzchu milczący stróż Hardangeru—olbrzymi, granitowy Tolgefond, nakryty białym flejdem. Dzieli nas od niego kilka jeszcze kilometrów, ale i na tę odle-

głosć czuć jego bliskość po chłodnym powiewie i słychać senny szum jego spienionych kaskad i siklaw. W ciszy zupełnej i milczeniu mijamy dwie małe wysepki Her i Ter, strzegące wejścia do głównej gałęzi Hardangeru. Po za niemi zmienia się nagle scenerya i oto niespodzianie znajdujemy się nagle wśród najwspanialszej natury fjordów.

Statek nasz zatrzymuje się chwilę w Utne, kędy fjord rozdziela się na kilka ramion. Najbardziej ku południowi zgięte, to osławiony Sörfjord, wciskający się słonemi wodami pomiędzy zbocza Folgefundu i olbrzymi trzon skalny Vidda. Mrok i mgły opięły mętnym welonem lasy i turnie—jedynie błyska wśród rozłamów biały fjeld i pełza wielkimi żlebami ku wodom fjordu i uprawnym polom wiosek, rozciągających się nad brzegiem.

Prócz szumu dalekich kaskad, cisza zupełna i milczenie. Czasem tylko przeciągłem echem przeleci przez powietrze dziwnie smutny jęk parowca, który kursuje między Odde i Støvanger i wnet zabierze mnie na swój pokład. Zanim jednakże zawrócę na południe, wolno mi jeszcze obejrzeć dwa cuda Hardangeru: Buar-Brac i Shaggedalofos, t. j. jeden z najpotężniejszych gleczerów Norwegii i bodaj najpiękniejszy jej wodospad.

Nad ranem stajemy w Odde. Kilka chat, kościółek biały i dwa hotele, oto cała osada. Nie brak tu jednak ludzi; kilkudziesięciu turystów zastaniesz tu zawsze w miesiącach letnich.

Przy śniadaniu zasięgam informacji, jak dostać się do Buar-Brac, i ledwo zdołałem wypić czekoladę, już z kilku Anglikami znalazłem się na małej łodzi parowej, która przecina fjord wpoprzek i wysadza nas w pobliżu Jordalu, małej, wieśniaczej osady. Ztąd już droga pieszka, widna jak na dłoni. Przez zwały moren, ponad urwiskami, wije się wązka ścieżyna i u stóp wielkich krzesanic, prowadzi w ciemny jeszcze wąwóz. Jeden jeszcze kominiek, jeden jeszcze

szczerbik, i oto nagle odsłania się przed nami zielonkawo-srebrzyste cielsko lodowca.

Martwym się on zdaje i zamartłym, ale stanąwszy tuż przy nim, słysząc pod skorupą zakrzepłą bulkot srebrzysty i łoskot, dudnienie głuche i trzask. To woda topniejącego lodowca żłobi sobie pomiędzy nim i skalistym podłożem tajemne przejścia i korytarze i przewala się gniewna w tem więzieniu, póki u dolnego krańca gleczeru, najwyżej o sto metrów nad poziomem fjordu, nie buchnie zielonkawą kaskadą i na grzbiecie swym nie wyniesie odłamków lodu, olbrzymich brył zakrzepłych, które o głaz nadbrzeżny roztrzaska i miałem drobnym wrzuci we fjord.

Ale ta martwota jest tylko pozorną. W ciągu roku cielsko jego olbrzymie pełźnie trzydzieści metrów w dół i wskutek tego skorupa jego pęka z łoskotem gromu i na ostrzejszych progach skalnego podłoża rozwija się ciemną szczeliną.

Zjawisko takiego pęknięcia lodowca nie jest rzadkiem. Podczas mego pobytu w jego pobliżu nie udało mi się doczekać na taką kanonadę lodów, ale zaledwie odpłyneliśmy z powrotem ku Odde, nagle rozdarł powietrze głuchy, przeciągły huk, a kapitan statku objaśnił nas, że to właśnie Buar-Brac obudził się już po nocy.

I nie tylko gleczer drgnął życiem dziennem. Słońce, schowane jeszcze zupełnie za góry Tolgefundu, rzuciło nagle blaski najcudniejszej zorzy na otaczające Odde szczyty. Tylokrotnie już widziałem zorzę w Tatrach, ale pod względem intensywności zabarwienia nie może się ona równać z zorzą tutejszych okolic. Tu odbiera się poprostu wrażenie, że wszystkie szczyty naokoło, wszystkie zbocza i krzesanice toną we krwi, a barwność pejzażu podnosi jeszcze odbicie tych blasków purpurowych w zwierciadle wód fjordu, które rankiem i wieczorem układają się w jedną, niezmarzczoną szybę szklaną.

Za powrotem do hotelu zgodziłem natychmiast

przewodnika do Tyszedalu, gdzie wody swe toczy „Shaggedalo-Fos.” Wsiadliśmy obaj do łódki i po dwóch godzinach żeglugi znalazłem się w małym Sörfiordzie, podobnym do Pustej doliny w Tatrach, tem jeno różnym od niej, że dno jego wypełnia morze. Droga wznosi się znów po zwałach moren i krzesaniach skalnych, na których znać ślady tarcia dawnych, dziś wyginionych lodowców.

Wzniesienie, które nam przyszło przebyć, wynosi zaledwie 600 metrów, a jednak na małej tej przestrzeni można doznać takich samych, jeśli nie silniejszych emocyj, niż na wycieczce na Gerlach lub Mięguszwskie turnie. Jeden fałszywy krok przez oślizgłe głązy, jedna chwila zawrotu głowy, a znalazłby się człowiek na dnie przepaści. Ten trudny dostęp nie przeszkodził atoli dbałym o wygodę turystów Norwegom zbudować wśród skał drewnianego schroniska, gdzie można zjeść i wypocząć.

Po chwili, przeciskając się wśród wielkich odłamów granitowych, które tu burza ze szczytów sąsiednich strąciła, wchodzimy w dolinę Ringedalskiego jeziora.

I znów łódka wiezie nas przez te ciche wody, objęte w ramę traw i kamieni. Zupełna pustka i cisza, tylko wiosło pluska równo i z po za ogromnej, prostopadłe w jezioro opadającej ściany, słychać szum kaskad.

Nagły ruch steru wysuwa nas po za tę ścianę, szum senny zamienia się w potężny łoskot i grzmot — przed nami, w sześćset metrową przepaść¹⁾, wprost w wody jeziora Ringedalskiego skacze rzeka i uderzając o jezioro, dymi wokół białemi kłębam.

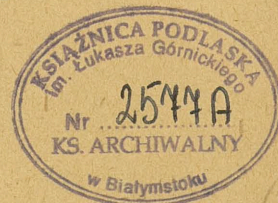
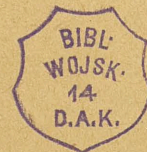
Tu jeno milczenie siada na usta; tu słowa są marne i myśli są marne — czujesz tylko, że w tej od-

¹⁾ Jestto wysokość 61½ wieży Maryackiego kościoła w Krakowie.

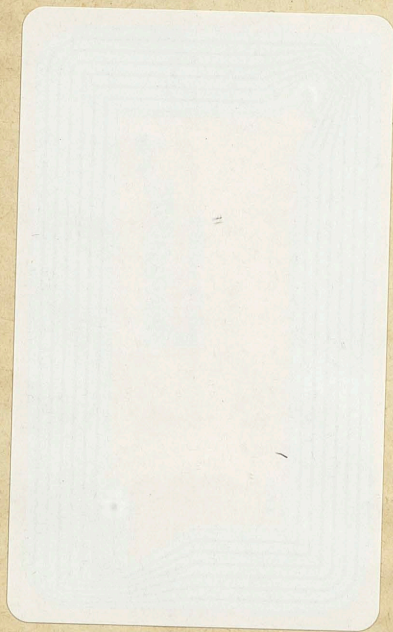
ciętej od świata dolinie odbywa się tajemnicze i święte mysterium przyrody, że tu wód hukiem przemawia Wieczność i Wszechmoc...

* * *

Siedzę obecnie w Zakopanem. Jesienne słońce chodzi po niebie i mgły się wleczą nad Gewontem. Pod reglami, drogą żelazną chodzę pod wieczór. Wszystkie obrazy dalekich krain i mórz snują się w mej pamięci. Kocham Tatry i nie wyrzekłbym się ich za żadną ziemię obiecaną, a mimo to czuję, że podobnie jak Tatry, ma Norwegia w sobie coś, co ciężko musi powrócić do niej. Jej fiordy, jej fielfy, powietrze, światło, zieleń, jej melancholia nocy bezzmierzchowych, swoboda życia, prawda ludzi — wszystko to zabiera na własność część twego serca i ani wiedząc kiedy, poczniesz tam szukać dla siebie cichej przystani. A jeżeli tylko serce twoje otwarte dla piękna przyrody, jeżeli kochasz ciszę i samotność, znajdziesz tam taką przystań, w której wodach skapany, serce i umysł odmłodzisz.



1111.



7406